



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXI Nr 12(244) Żelów, grudzień 2016

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Genowefy Jakubowskiej-Fijałkowskiej, Marty Kopiec, Justyny Koronkiewicz, Romana Rzucidło, Elizy Segiet

Andrzej Dębkowski – *Stracone dekady przemian*

Leszek Żuliński – *Poezja snu i realu*

Józef Baran – *Spadając, patrząc w gwiazdy*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *Pod chmurną kopułką nieba*

Stefan Jurkowski – *Zamiast dziegciu Łyzka Mleka!*

Andrzej Bartyński – *Boże Narodzenie za pasem*

Joanna Friedrich – *Jesień w stylu art deco*

Kazimierz Ivosse – *Opowieść wigilijna*

Anna Dominiak – *O śmierci bez patosu*

prof. Kazimierz Świądecki – *Lam Quang My – poeta miłości (1)*

Mały pisarczyk z Małszyc – ze **Stanisławem Stanikiem** rozmawia **Izabela**

Zubko (1)

Wiesław Prastowski – *Nie wszystek umrę*

Magdalena Kapuścińska – *Rad żem Polon czyli... Skłodowska-Curie, polska spiritus mundi, a nawet movens...*

Małgorzata Dębkowska – *Finał XXII Konkertów Festiwalowych – Żelów 2016*

Anna Andrych – *„Żegnam Erato”*

Andrzej Wołosewicz – *Poezja ożywionego palimpsestu (1)*

Joanna Słodyczka – *Okiem debiutanta*

Informacje

Wydarzenia

Opinie Noty Poglądy



Konkursy

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Mieczysława Czychowskiego

Celem konkursu jest promocja twórczości poetyckiej w kraju i za jego granicami, rozbudzanie wrażliwości artystycznej w środowisku oraz stwarzanie warunków do publicznych kontaktów i konfrontacji.

Do konkursu zapraszamy autorów, którzy ukończyli 15 lat.

Nadesłane utwory powinny być napisane w języku polskim, stanowić pracę własną autora. Nie mogą być wcześniej publikowane w wydaniach książkowych i nagradzane Nagrodami Głównymi (1, 2, 3 miejsce) w innych konkursach poetyckich.

Zestawy prac należy nadsyłać w formie papierowej na adres Organizatora (jak wyżej), z dopiskiem na kopercie: „Konkurs poetycki” oraz kategorii.

Każdy zestaw winien być opatrzony godłem (słowem). Natomiast dane osobowe autora, (imię i nazwisko, adres zamieszkania, nr telefonu, e-mail, krótka nota biograficzna, informacje o dotychczasowych osiągnięciach literackich) oraz oświadczenie o treści: „Oświadczam, że jestem autorką/autorem wierszy nadesłanych na konkurs. Wiersze nie były wcześniej publikowane w wydawnictwach zwartych i nagradzane na innych konkursach”, powinny znajdować się w zaklejonej kopercie oznaczonej tym samym godłem (nie piszemy danych osobowych na kopercie głównej). Autor może wziąć udział we wszystkich kategoriach.

Zestawy od 3 do 5 wierszy w kategorii I i III oraz zestaw od 5 do 10 wierszy w kategorii II nadsyłamy w trzech egzemplarzach w terminie do 28 lutego 2017 roku (zestawy przysłane po terminie nie biorą udziału w konkursie).

Nagrody:

Nagroda Główna Burmistrza Miasta Szczecinek Jerzego Hardie-Douglasa za zestaw wierszy – 1000 zł. Dwa równorzędne wyróżnienia – po 500 zł.

Nagroda Główna Starosty Szczecineckiego Krzysztofa Lisa za zestaw wierszy dla dzieci: 1000 zł i druk książki autorskiej w ilości 300 egzemplarzy (100 otrzymuje autor, pozostałe egzemplarze zostają do dyspozycji Organizatora).

Nagroda Główna w kategorii „POETA REGIONU” – 500 zł (kwalifikują się autorzy mieszkający w odległości do 50 km od Szczecinka).

Wiersze laureatów w kategorii I i III zostaną wydrukowane w almanachu pokonkursowym.

O doborze utworów do tomiku w kategorii II, objętości, formie i oprawie plastycznej decyduje Organizator.

Koncert Finałowy w trakcie którego nastąpi podsumowanie konkursu i wręczenie nagród odbędzie się wiosną 2017 roku.

O wynikach i dokładnej dacie laureaci zostaną powiadomieni drogą mailową lub telefoniczną.

Werdykt zostanie udostępniony na stronie internetowej Organizatora oraz stronach poetyckich.

Odbiór nagród możliwy jest wyłącznie podczas Imprezy Finałowej. Organizatorzy nie przysyłają nagród pocztą. Nagroda nieodebrana zostanie przekazana na konto innych projektów kulturalnych organizowanych przez SAPIK w Szczecinku.

Nadesłanych prac Organizator nie zwraca.

Uczestnicy konkursu wyrażają zgodę na przetwarzanie swoich danych osobowych w zakresie koniecznym do prawidłowej współpracy z Organizatorem, zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych Dz. U. nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późniejszymi zmianami.

Laureaci wyrażają zgodę na nieodpłatne wykorzystanie nagrodzonych wierszy w publikacjach służących reklamie konkursu.

Organizator nie pokrywa kosztów przjazdu na Koncert Finałowy.

Sprawy sporne, nie ujęte regulaminem rozstrzyga Jury oraz Komitet Organizacyjny.

Zgłoszenie do udziału w konkursie traktowane jest jako akceptacja wszystkich warunków regulaminu.

Szczegółowych informacji zasięgnąć można w Samorządowej Agencji Promocji i Kultury w Szczecinku na stronie internetowej Organizatora lub u sekretarza konkursu – Krystyny Mazur (tel. 94 712-83-02; e-mail: k.mazur@sapik.pl)



Relacje

Finał XXII Koncertów Festiwalowych – Zelów 2016

W piątkowy wieczór, 4 listopada br., w kościele pw. M.B. Częstochowskiej w Żelowie zaprezentowane zostało oratorium Roberta Grudnia

„Bóg Ciebie ochrzci! Bóg dał Ci siłę!” Koncert był jednocześnie zwieńczeniem projektu „Spotkania z muzyką i słowem – XXII Koncerty Festiwalowe – Żelów 2016”, realizowanego przez żelowski Dom Kultury przy współpracy i współfinansowaniu Łódzkiego Domu Kultury w ramach współpracy organizacji projektów kulturalnych na terenie województwa łódzkiego w 2016 roku.

Oratorium „Bóg Ciebie ochrzci! Bóg dał Ci siłę!” powstało z okazji 1050. rocznicy chrztu Polski. Tytuł – jak wyjaśnia kompozytor – ma przypominać o tym, że chrześcijaństwo jest nierozdzielnie wpisane w dzieje Polski i nie sposób ich zrozumieć bez zauważenia głębokiej religijności kolejnych pokoleń naszych przodków. Inspirowana tymi wartościami muzyka, w połączeniu ze śpiewem i słowem, stanowiła opowieść o historii polskiego chrześcijaństwa, o jego dziedzictwie i poszanowaniu tradycji.

W programie zaprezentowane zostały m.in. fragmenty najstarszych kronik, utwory Jana Kochanowskiego, Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Mikołaja Sępa Szarzyńskiego oraz jeden z wierszy żelowskiego Andrzeja Dębkowskiego. Publiczność mogła się także wsłuchać w słowa kardynała Stefana Wyszyńskiego i św. Jana Pawła II wyjaśniające głęboki sens i przesłanie chrztu.

Oratorium wykonali artyści występujący pod nazwą ORKIESTRA 966: Kinga Moczyłowska (śpiew), Marcin Buchowski (śpiew), Tomasz Mazur (śpiew), Szymon Lipiński (akordeon), Michał Kowalczyk (kontrabas) oraz Robert Grudzień (organy). Artystom towarzyszył chór ze Szkoły Podstawowej nr 2 Żelowie pod dyrekcją Anny Kimmer. Jako narratorzy wystąpili mieszkańcy Gminy Żelów i osoby zawodowo związane z Żelowem, reprezentujące różne stany i środowiska: duchowieństwo, samorząd, radnych, nauczycieli, uczniów, pracowników, policję i kulturę.

Podczas koncertu licznie zgromadzona publiczność nie ukrywała swojego wzruszenia i zachwytu. Z dumą i satysfakcją przyjęte zostały wykonania chóru szkolnego oraz narratorów. Docenili to również występujący artyści i kompozytor oratorium – Robert Grudzień, podkreślając, jak ważne jest twórcze zaangażowanie lokalnej społeczności w realizację przedsięwzięć zasługujących na miano wydarzeń artystycznych.

Małgorzata Dębkowska



WSPÓŁORGANIZACJA
PROJEKTÓW KULTURALNYCH
NA TERENIE WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO
2016



ŁÓDZKI DOM KULTURY
INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO



Dofinansowano ze środków Łódzkiego Domu Kultury – Instytucji Kultury Samorządu Województwa Łódzkiego

Mały pisarczyk z Małoszyc ⁽¹⁾

Ze Stanisławem Stanikiem rozmawia Izabela Zubko

– Spotykałeś się z ciekawymi ludźmi, zwłaszcza piszącymi, jako członek Związku Literatów Polskich, prowadzący warsztaty artystyczne oraz dziennikarz, mający stały kontakt z pismami. Dzięki kontaktom na tych trzech płaszczyznach miałeś możliwość pogłębienia swego życia duchowego niejako na wzór uczestnika katechezy. Było to na czasie, bowiem pontyfikat Jana Pawła II, tak sprzyjający Polakom, odciskał swoje piętno i na twoim na życiu codziennym. Ty w tym życiu uczestniczyłeś na prawach szermierza kultury, nie tylko ją tworzącego, ale i odbierającego jako wieczny tułacz po świecie wartości. Zbierałeś na tych uroczystościach materiał do książki „Spotkania”, na którą złożyły się sylwetki najlepszych twórców kraju. Co utkwiło ci w pamięci z tych uroczystości?

– Cykl sylwetek, jaki złożył się na książkę „Spotkania”, powstawał długo i ujmował omówienia i spostrzeżenia z obcowania z wielkimi ludźmi. Czerpał ze scenek, sytuacji, układów. Nie wszystko, czego doświadczyłem z kontaktu z tymi ludźmi, zawarłem w swojej książce, toteż chciałbym podzielić się przeżyciami osobistymi, które wyniosłem jako uczestnik tych spotkań. Inspiracją do napisania tego cyklu dał mi przyjazd do Studzianny, w 25. rocznicę koronacji tamtejszego obrazu Matki Boskiej Świętorodzinnej, ks. kardynała Józefa Glempa. Był imiennikiem Ojca Rodziny Świętej, a poza tym czuł się w obowiązku stawić tutaj na uroczystość jubileuszową po pamiętnych wizytach koronacyjnych ks. kard. Stefana Wyszyńskiego i ks. kard. Karola Wojtyły. Celowo na tę wizytę przyjechałem z Warszawy, chcąc stanąć tête-à-tête z Prymasem Polski, o którym miałem mało wiadomości, oprócz tej jedynej pokątnej, że jego brat należał do partii. Podjeżdżając samochodem z moim bratem Andrzejem do Studzianny, bardzo byłem zaskoczony, że co pewien odcinek drogi stoi kontrola ruchu drogowego, która kieruje samochody na obrzeża miejscowości. Zdziwiony byłem tą sytuacją tym bardziej, że przy kościele było dużo wolnej przestrzeni. I co gorsza, kiedy już czekałem na dostojnego gościa, widziałem, jak policja daje o sobie znać na każdym kroku. Krążyła plotka, że ma zjechać na uroczystość Lech Wałęsa i z tą też nadzieją oczekiwałem na pojawienie się kawalkady z dostojnikami. Jakoż wkrótce, ale po czasie przewidzianym na przyjazd, zjawił się sznur samochodów z Warszawy, w którym

zaś jego miejscu siedział kardynał – nie byłem w stanie dojrzeć, mimo bliskiego mojego ustawienia od przyjeżdżających aut. Widziałem potem, jak delegacja opuszczała pojazdy i jak przed wejściem do kłauzury jakaś dziewczynka wręczyła kwiaty jego eminencji. Postacie zniknęły w klasztorze. Ja ze swojej strony skierowałem kroki na plac przy kościele. Jakie było moje zdumienie, gdy za jakieś piętnaście minut zaczęła się ceremonia jubileuszowa. Zabiły dzwony. Ksiądz kardynał wyszedł pod baldachimem z monstrancją trzymaną w obu rękach, za nim poruszał się z wolna tłum, a naokoło trasy pochodu ustawili się przygodni uczestnicy święta, zazwyczaj dobrze sytuowani, którym nie było do honoru iść za księdzem, choćby to był ksiądz kardynał. Wdziałem potem jego eminencję, gdy mijał mnie w procesji, jego twarz poważną, a nawet jakby groźną ze względu na podkrążone oczy, jego zdecydowane, męskie ruchy i silny uścisk dłoni, z opadającą na nie kapą. Kardynał z wiernymi przeszli, rozpoczęła się msza święta, lecz to nie punkt najważniejszy programu tego świątecznego dnia, okazała się nim homilia, wygłaszana z podwyższenia przez ks. kardynała, napowietrzna. Z kazalnicy kardynał kierował surowe słowa o przepięknej chwili, jaką jest dzień uczczenia pamięci dokonanej przed 25-latami koronacji. Dużo mówił o świętym obrazie, przy czym z emfazą wypowiadał pierwotne brzmienie obrazu „Jezus, Maryja, Józef” jakby chcąc podkreślić brzmienie imienia głowy Rodziny Świętej. A zakończył homilię akcentem jeszcze bardziej osobistym, mianowicie wspomnieniem swej wizyty w Rzymie i rozmowy z Papieżem Janem Pawłem II, w której najwyższy dostojnik kościoła wyjawiał, że dobrze wspomina swój pobyt i udział w uroczystości w Studziannie. Tyle z tego święta pamiętam do dziś. Dodam, że polski Papież jako osoba kanonizowana, został uznany za patrona rodzin. Zdziwiło mnie to, bo mogłby zostać i patronem młodzieży, i literatów, a tu – wziął pod opiekę na wieczność wszystkie rodziny. To jest taki wniosek nasuwający się mimo woli, bo drugi wniosek, ale jeszcze wcześniejszy, powstał w związku z wizytą kardynała Glempa. Nie wiem czemu nie potrafił pociągnąć za sobą tłumów. Nawet nie wiem, czy był lubiany przez cywilnych, bo w Studziannie nie pojawiło się więcej niż 10-15 tysięcy osób, a to mało, w porównaniu ze 150 tysiącami, a może nawet 200 tysiącami sprzed lat. Ważne, że i Glemp odwiedził Studziannę. Dla mnie zaś ta wizyta dała impuls do

prowadzenia notatek ze spotkań ze znanymi ludźmi, głównie ludźmi pióra. Wiedziałem, że muszę utrwalić pamięć o tym, co mija, a powinno się zatrzymać, i wychodząc od tego impulsu poprzez różne uczestnictwo w imprezach, już wyłącznie kulturalnych, rodziła się moja książka „Spotkania”. Obejmuje ona ponad 20 nazwisk znakomitych, zatem stanowi sumariusz tego, co chcę wydobyć na jaw w tym wywodzie. Po księdzu kardynale przyszła pora na prawie wyłącznie ludzi pióra i to tych z lewa, uwikłanych w komunizm, i tych z prawa, mocno odgrążający się tych pierwszych. Oglądani później pod moją lupą wszyscy bez wyjątku odbywali spotkania w Warszawie. A po postaci księdza kardynała przyszła pora na pana prezesa Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Ludmiłę Marjańską. Była panią starszą, uczesaną przez pół głowy, dbającą o higienę, choć o estetykę w domu mniej. Jako pracownik „Inspiracji”, pisma wydawanego przez Jadwigę Marlewską, dalekiej od hasła feministycznych, ale zaprawionej w jakimś uporze emancypacyjnym, zgłosiłem się do pani prezes z prośbą o wywiad, wiedząc, że pozyskam względy tym krokiem u Marlewskiej. Pani prezes była kobietą głęboko wierzącą (co dzień odmawiała modlitwę z księgi Koheleeta), kulturalną, wrażliwą. Nie ceniłem zbyttnio jej twórczości, bo ograniczało się tylko do wierszy (także i twórczości dla dzieci) i tłumaczeń. Pisarka nie potrafiła utrzymać stałego poziomu wzruszeń. Prowadziła wiersz równo i dobrze, lecz w zakończenie wpadał dysonans: wiersz biały kończył się zwykle paroma rymowanymi wyrazami (nazywałem to „przypadkiem”). W każdym razie na wywiad przystała, biorąc sobie „Inspiracje”, które jej wręczyłem celem przeczytania do samolotu w podróży. Po rozmowie już z nią, a rozmowa odbyła się po powrocie z zagranicy, poetka dokonała poprawek w wywiadzie i wobec tego ukazały się we wstępnej wersji (jeden wydrukowany w „Myśli Polskiej”) i drugi po zmianach (wydrukowany w „Inspiracjach”). Marjańska była – jak się okazało – otwarta na różne działania i dała nam „błogosławieństwo” na prowadzenie aktywności Związku Twórczego Pisarzy Polskich. Gościłem na czas nanoszenia poprawek w wywiadzie u Marjańskiej w domu i spostrzegłem pewien artystyczny nieład i pewne zaniedbanie, ale to pozwalało tylko widzieć w tej zorganizowanej kobiecie, z pochodzenia Częstochowiance, córę pięknej Kaliope.

(Dokończenie na stronie 4)

Mały pisarczyk z Małoszyc (I)

(Dokończenie ze strony 3)

Widziałem jeszcze później moją rozmówczynię bodaj dwa razy na imprezach w klubie im. Pietrzaka w PAX-ie warszawskim, ale wdawszy się z nią w rozmowę, stwierdziłem jedynie, że pani prezes jest mi życzliwa. W trakcie jednej z nich stwierdziła, że mogę złożyć dokumentację osobową i swoje prace literackie celem przystąpienia do SPP (przy jednoczesnym rozejściu się z ZLP), ale to, co się stało, przeszło granice mojego oczekiwania. SPP mnie nie przyjęło za swego członka, a stało się to w wyniku głównie stanowiska zajętego przez Piotra Matywieckiego (Marek Nowakowski w ogóle nie przyszedł na posiedzenie komisji kwalifikacyjnej).

Byłem zaszokowany takim rozstrzygnięciem, ale wkrótce potem, gdy zostałem naczelnym dodatku „Myśl Polska”, mijając mnie w przejściu na parterze Domu Literatury, Matywiecki otworzył przede mną drzwi na oścież jak odzwierni i to było moje zwycięstwo. Marjańska tym czasem rozchorowała się i zmarła. Myślałem, że pamięć po niej szybko zaginie, jak po Grześczaku, nawet Szczepańskim, a tu tymczasem w jednym czy drugim programie organizowanym przez SPP pojawiły się wiersze prezes – autorki. Nastąpiło jej zwycięstwo z za grobu z całkiem innej parafii, ale deklarujący się jako katolik, pochodzi prozaik, dyplomata, żołnierz Wojciech Żukrowski. Zwrócił on moją uwagę swoim stylem, żarliwym, tłustym, zatrzymującym na sobie uwagę i przy czytaniu budzący zachłanne uczucia jakiegoś łaknienia słowa. O takich jak on twórcach mówił się: ciekawy, przyciągający uwagę. I tego Żukrowskiego, który jak pamiętam – pokazał się w TVP w programie w stanie wojennym, ogłoszonym przez Wojciecha Jaruzelskiego, w mundurze oficerskim – dane mi było poznać dość blisko w najbliższym czasie. Pragnąłem najpierw, aby udzielił mi wywiadu, na co odparł, że niedawno udzielił kilku (był jeszcze prezesem ZLP). Potem spotykaliśmy się w klubie im. Pietrzaka na zebraaniach „Kręgu”, prowadzonym przez trochę topornego i mało przenikliwego, ale budzącego sympatię Zygmunta Lichniaka. Żukrowski tymczasem siadywał na spotkaniach za tym samym stolikiem, co i ja. Chcąc mnie rozbroić, bo może jako młodym byłem za bardzo spięty, podawał mi ciasto, winogrona, nawet cukierki, które leżały na paterze, mając uspokoić nie tyle głód literatów, co uspokoić ich zdenerwowanie. Rozluźniłem się w jego towarzystwie i mile z nim gawędziłem, opowiadając także wiadomości o sobie, jakich nie

udzielałem dobrym kolegom. Żukrowski czuł się swobodnie i bez mojego pozwolenia na luz. Zabierał głos w dyskusji, wtrącał się w wypowiedzi innych osób prowadzących jakieś spotkanie. W jednej ze swoich wypowiedzi nazwał księdza osobą „mundurową”, co wydało mi się niesmaczne i zacząłem zastanawiać się, jaki model katolicyzmu prezentuje Żukrowski, skoro sutannę nazywa mundurem? Odczułem drażnienie na jego postawie etycznej, ale Żukrowski – pomimo niewyparzonego języka – dał się lubić. Na moją prośbę, już dużo później, chadzaliśmy na „Krag”, dał się namówić na wywiad do „Myśli Polskiej”. Z tej okazji odwiedziłem go w domu przy ulicy Karowej, nieopodal hotelu Bristol. Poznałem dobrze go jako gospodarza, jego żonę i pokój pracy, bogaty, ładnie utrzymany, z inkrustowanymi meblami. Zamieniłem parę słów z żoną i jak się okazało, była to miła, kulturalna, pełna wdzięku starsza pani. Sprawiała o wiele leprze wrażenie niż kiedyś żona Jana Parandowskiego, z którą zetknąłem się po śmierci męża w jej domu. Pamiętam jednak coś z tej wizyty, co by poświadczało, że Żukrowski był ciepłym, bezpośrednim człowiekiem.

Podczas mojej obecności gospodarz szczerze powiadomił mnie, że ma czas ograniczony, bo zmarł sąsiad z góry bloku i pisarz chce wybrać się na jego pogrzeb. Nie musiałem się spieszyć, Żukrowski poświęcił mi trochę uwagi, ale wychodząc, zaprosił mnie do taksówki (jeździł taxi), abym mu towarzyszył w wyjeździe, najpierw do kościoła św. Boromeusza. Pojechałem z nim na jego życie, ale przed cmentarzem, mimo że przyjemnie nam się gawędziło, rozstaliśmy się. Było to ostatnie moje zetknięcie się z nim, bo niedługo potem umarł. Ale z tych rozmów pamiętam tylko jako najważniejsze zwierzenie o autorstwie książki „Barwy walki” Mieczysława Moczara. Oświadczał z naciskiem, że nie on tę książkę napisał dla źle widzianego przez Polaków polityka.

Nie wiedziałem czy Żukrowskiemu ufać, czy nie ufać, aż natrafiłem na człowieka, który wymienił mi imię i nazwisko prawdziwego twórcy „Barwy walki”. Zrozumiałem, czym może być dla pisarza pomówienie o wspieranie niewłaściwego człowieka. Powiem jeszcze, że napisałem list do Żukrowskiego, żeby mi napisał odpowiedź na moje pytania celem wydrukowania jej w książce. W sumie wyniosłem pozytywne, a można powiedzieć, że i serdeczne wrażenie z obcowania z tą postacią, o jego prawdziwym obliczu czy pisarstwie inni może wiedzą więcej i lepiej? Nie sądzę, by Żukrowski miał dwa oblicza. A katolickość twórcy „Kamiennych tablic” wyjawia się najpełniej w materiale pisarza o wspólnej jego pracy w czasie II wojny światowej z Papieżem, ks. Karolem Wojtyłą w kamieniołomie Solvay w Krakowie. Skomplikowaną miał drogę Żukrowski,

podobnie jak całe jego pokolenie, które rozbiło się na dwa obozy: lewe i prawe, a osobowość pisarza przy tym układzie mogłaby wydawać się niekiedy dwuznaczna. Ten materiał ukazał się w później w piśmie Romualda Karasia „Pod Wiatr” i zaskoczył mnie, budząc moje zdumienie. Cała Polska w tym czasie zdawała się być katolicka, w tym również literaci, bo ci o skrzywionym kręgosłupie czy lewicowcy radykalni byli usuwani w cień. I tym literatom, a właściwie literatom i pisarzom, przewodził wówczas pod względem duchowym Krajowy Duszpasterz Środowiska Twórczych w Warszawie ks. Aleksander Niewęglowski. Czytałem jego wiersze, bo był sam poetą, ale nic szczególnego w nich nie znajdowałem. Podobnie nie miał siły przyciągania jako człowiek, bo gdzie tam mu było do takich otwartych dusz jak dusze księdza Jakubczyka czy księdza Natera ze Studzianny? Wydawał się być raczej naturą pospolitą i zamkniętą. Ale pewnie myłę się, bo ktoś o pospolitym wnętrzu sięgnąłby po pióro i chciał wylewać łzy (choćby krokodyły) nad światem? Nie. Przede wszystkim ks. Niewęglowski okazywał się dobrym księdzem, dbałym o majątek kościelny. W październiku 1993 roku w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia NMP i św. Józefa Oblubieńca Bogurodzicy utyskiwał, że twórcy warszawscy nie mają swojego kościoła, jak artyści z Krakowa, Wrocławia, Lublina, Gdańska i apelował, by władze kościelne zajęły się powstaniem takiej świątyni. Po mszy świętej nabyłem książkę duszpasterza „W cieniu słowa” a następnie poszedłem na uroczysty poczęstunek, tzw. agape. Książka był cały czas zaabsorbowany, rozmawiał, wyjaśniał, podpisywał książkę. Dedykację i ja otrzymałem, ale ksiądz nie wyjaśnił mi w luźnej pogawędce, dlaczego nie odpisał na mój list z przesłanym moim tomikiem wierszy. Później też mu list z wierszami wysłałem i stało się to samo: ksiądz Niewęglowski nie odpowiedział. Spotkałem natomiast na tej mszy świętej, połączony z agape dla środowisk twórczych, załatanego i wiecznie nieutemperowanego poetę i recenzenta PAX-owskiego, Zdzisława Łączkowskiego. Chciałbym mu poświęcić później nieco uwagi, lecz muszę powiedzieć, że za czasów pontyfikatu naszego Papieża wprost kajał się po kruchtach i nawracał na wszystkich imprezach artystycznych, nie zawsze samemu dając dowody pobożności. Kościół i katechizm delikatnie sprawował władzę i w tym środowisku. Także w ZLP, które uchodziło za „czerwone”, działały się dziwne, dramatyczne przetasowania.

cdn.



Mniej Więcej (142)



Foto: Zofia Mikula

Poezja snu i realu

W Bibliotece Arkadii – Pisma Katarstficzego ukazała się już 132. książka – to nowy zbiór wierszy **Gali Jakubowskiej-Fijałkowskiej**. I dziewiąta książka tej autorki (były w tej liczbie również dwa wybory wierszy).

Leszek Żuliński

Gala wystartowała w roku 1994. A więc ta liczba tomów nie wydaje się imponująca. Tym bardziej, że ciągle Gali nam brakuje. Nie tańczy ona namiętnie na deskach życia literackiego, nie uprawia „gwiazdorstwa poetyckiego”. A jednak ci, którzy znają jej pisanie, stawiają je wysoko. Gala to marka!

Patrzę na ewolucje tej poezji, która znam – tak mi się zdaje – od pierwszego tomiku. Była to liryka zawsze mało „liryczna”. Gala nie pisała nigdy ani „westchnieniem”, ani uniesieniem. Trzymała się twardo reizmu, konkretności, behavioru. Oczywiście „wybebeszała się” w tym wszystkim, ale właśnie unikając „estetycznej szczebiotliwości”. Rzekłbym nawet, że twarde stąpanie po ziemi było jej znakiem rozpoznawczym, a swoisty turpizm manifestował niechęć do kwilenia.

Ten nowy tomik jest konsekwentną kontynuacją postrzegania „świata nieprześłodzonego” oraz dykcji, która nie stroi się w estetyzm. Posłuchajcie wiersza pt. *Sypią mi się włosy*, który otwiera ten tomik: *jak po chemioterapii / to nie rak // no starość kurwa starość // na nic skrzyp polny / szampony trzy w jednym suplementy diety // odżywki balsamy olejek arganowy / gaje oliwne na włosy // może powinien spać już gotowa / w czarnej garsonce z fioletową apaszką na szyi // może powinien malować usta przed snem / zrobić cienie na powiekach rzęsy tuszem spehora*

// jeszcze puder migdałowy na policzki // mama była piękna w takim makijażu / w kostnicy // i wtedy padał wielki śnieg.

Zauważcie: ten wiersz jest bardzo kobiecy. Męczyzna takiego wiersza by nie napisał. To jest „damski scenariusz śmierci”. Ale on jest na swój sposób „twardy”. Funeralny do cna i wyzbyty estetyzacji. Krechy tradycyjnego liryzmu Gala nie stosuje nigdy.

Czy Gali udaje się wprowadzić do poezji język do cna pospolity? Ha!, ona jest w tym mistrzynią! Kolejny przykład (wiersz pt. *Telefon*): *nie odbieram // farbuje swoje pierdolone siwe włosy / henną rubin spływa cała wanna farbą // ręczniki zabrane (dzięki Bogu spierają się) / jak fazy księżyca to menstruacyjne farbowanie // (pamiętam komunistyczną ligninę ocierała mi co miesiąc uda) // pod siedemdziesiątkę znowu się z tym wszystkim pierdolę / z farbą do włosów jak wtedy z krwią // jeszcze przypominam sobie: // radio marki Stolica Rozgłośnię Wolna Europa / stację Radia Luksemburg // kultową reklamę PRL-u prusakolep / pierwszy jaból tamto rzyganie // i mroczne kwiaty wiosny.*

No co? Szokuje was absolutna kobiecość tej poezji wysławiana poniekąd męskim, a nawet menelskim językiem? Ha! Myślę, że gdy ukazało się w 1949 roku pierwsze wydanie *Drugiej płci* Simon de Beauvoir z równym podziwem odbieraliśmy ów „nowy kobiecy timbr”. Tamta „rewolucja” eskaluje się, lecz kobiecość się jednak nie maskulinizuje (i chwala Bogu). U Gali obserwujemy „deinstalację” wielu mitów związanych z etosem kobiecości. Nie jej zaprzeczenie, raczej jej wyzwolenie. Zresztą nie zawsze tylko o to chodzi. Tytułowy wiersz zbioru – *Paraliż przysenny* – mógłby z powodzeniem wyjść spod męskiego pióra. U Gali wiele zdań, wiele tekstów uniwersalizuje się. Trzeba umieć tu szorstkość i kolokwialność łączyć ze wspomnianym behaviorem, którego odwołany są u tej poetki bolesne i nie cierpiące „ozdóbki”. Stare powiedzonko głosi, że jak prawdziwy mężczyzna walnie się młotkiem w palec, to może wrzasnąć tylko jedno: *o, kurwa!* I tę „szczerłość języka” należy wychwalać. Poezja już dawno przestała tańczyć w tiulach i na szpilkach. Poezja coraz mocniej uczy się chodzić po ziemi.

Znajdziemy tu także wrzuszające: powroty do dzieciństwa, do lat i pejzaży, które już minęły. Znajdziemy osobliwy dualizm, w którym czułość zderza się z traumą, realne powidoki z irracjonalnym „lunatyzmem” jak np. w wierszu pt. *Chłam żeby spać: a moja kobieta błąka się z flaszką wina / w nocy po ogrodzie // rozgryza właśnie szkło / zrzuca szlafrok koszulę nocną, majtki // zostaje w robaczkach świętojańskich / fosforyzuje od łona do piersi // zapalają się jej włosy / niebiesko.*

Mamy w tym zbiorze wielką amplitudę widoków, powidoków, jawy i snów, realu i

wspomnień. To nie są wiersze monolityczne w swej ekspresji. Dla przykładu jeszcze dwa teksty. Najpierw wiersz pt. *Wiolonczela*: *kiedyś miała struny / z preparowanych jelit zwierzęcych // albo z linek tkanych ze srebrnych drutów // teraz ze stali / które rozcinają twoje palce gdy grasz // przez cztery struny / przez cztery strojenia w kwintach // słońce zachodzi nad ołtarzem kościoła / z hostią świętą i wiolonczelą // grasz w aureoli tego słońca / wiolonczela obejmuje twoje kolana // wiolonczelę trzymasz jak kobietę którą kochasz na zimnej posadzce kościoła // ona (kobieta) jak pudło rezonansowe spragniona twojego gryfa na przedramieniu i w niej // weź ją w ostatnim dźwięku wiolonczeli / przed tabernakulum.* A teraz inny wiersz pt. *Babka Roza*: *pamiętam te czary niewidy / mgły poranne zorze // egzorcyzmy płatanie języka // wiwisekcję żab / odcinanie ogonków jaszczurek // salamandra wbiegła w moje oko / spłynęła krwią // to ja babka Roza w piwnicy // mchy porosty wilgoć pleśń pajaków sieć / moje zielone włosy // źródło cembrowanej studni / majtki w pierwszej miesięcznej krwi.*

Proszę zwrócić uwagę, jak to, co wyżej cytuję różni się bardzo od tego, na co zwracałem uwagę na początku tej recenzji. Skąd ta polifonia? Gala otóż jedną nogą chodzi po przyziemności, nawet uwypuklając jej trywialność, zaś drugą nogę wsadza w obłok metafizyczny. Nie ogarniecie Gali – ona jest szamanką żyjącą w realu.

Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, „Paraliż przysenny”. Instytut Mikołowski 2016, s. 58.

Genowefa Jakubowska- Fijałkowska

Madagaskar

znalazłam kamień celestyn

jakie to cudne imię dla mężczyzny
który mógłby zostać

moim planetarnym władcą

wibracje kamienia i tego mężczyzny
zawieszę na szyi

będę wpadać w krater wulkanu długo
do środka ziemi

do mężczyzny

Eliza Segiet

Odświętny stół

W pamięci,
może przetrwać czas.

Pamiętam
odświętny stół,
zapach lasu.
Pamiętam
radość z bycia razem.

Czas
– utkany wspomnieniami.

Wędrowiec

Czy słyszycie
szmery lasu?
Jesienią drzewa śpiewają,
zimą
rozświetlone
zapraszają do wspomnień.

Choć już ścięte
– nadal patrzą w górę
nie kładą się na mchu.
Wypatrują.

Świąteczka mrugają marzeniami.
A one
nadal czekają.

Może kiedyś
w szmerach lasu
samotny wędrowiec usłyszy wołanie?
Może kiedyś
poczuje smak świat?

Krople

Głaszczące skałę
krople wodospadu
rozbudzają wyobraźnię poety,
magia światła
ożywia dłoń malarza.
Kobieta –
sternik fantazji
cumuje na płóciennych blejtramach
i wypełnionych słowami kartkach.

Słoneczniki

W głowie urodził się ogród,
ale jeszcze czeka na zapach.
Jakiż on piękny,
ukwiecony harmonią kolorów.
Za zaczarowaną furtką,
otwartą na doznania
stoją
dwie chylące się głowy

dojrzałych słończników.
Chyba już kłaniały się
snującej z oddali miłości.
Wiatr
przymknął zaczarowane wrota,
czuł niedosyt.
Wiedział,
że ogród można wymyślić,
a miłość
trzeba poczuć.

Poświęta

Kiedy wiatr rozsypuje włosy,
a czerwone liście stają się dywanem
wiem,
że ona już puka,
przeziera przez
rozkołysane wiatrem marzenia.
A we mnie wciąż jest
poświęta lata,
nadmorski uścisk rozkoszy,
błysk latarni torującej drogę.

A dzisiaj?
Dzisiaj widziałam
jak mgła zabrała świat,
ale oddała
czerwono – złoty dywan
i wiewiórkę,
która wie, że
czas robić zapasy.

Fotografia

Zatrzymane ułamki sekund
spojone w niedostatek
uzmysławiają bycie,
które jest niebytem.
Zesłoroczny śnieg,
sirocco rozplatające moje włosy,
słońce które już poszło spać
i Ciebie
budującego domek z klocków.
Na błyszczących kartkach
widzę dopełnienie chwili –
ślad niebytu.

Strona życia i śmierci

*Ludzie na prawo,
Żydzi na lewo*
– usłyszała.
Jej siostrę schwytali do wagonu,
ją też chcieli.

Uciekła pomiędzy
szeroko rozstawionymi nogami gestapowca.
Pobiegła do ojca.

*Tato, tatusiu,
– do pociągu
schowali Krysie!*

Zabierz ją.

Wrócił z córką.

To nic, że teraz
zabraknie na chleb.

Justyna Koronkiewicz

Zdumienie na widok odbicia w tafli wody

W lesie obracasz się plecami do siebie,
 twarzą do świerków.
 Poznajesz innego, który mieszka pod korą.
 Taką jest
 twoja skóra od wewnątrz – szorstka.
 Jakbyś zaczynał
 od początku, odkrywał korzenie pod
 stopami, dzielił ciało
 na słoje i warstwy. Jesień czujesz jak
 zapadanie w sen,
 zrzucanie liści. Nosisz w kieszeniach
 orzechy
 dla wiewiórek. Zdzierasz żywicę z sosen
 i wcierasz we włosy.
 Zmieniasz zapach na bliższy. Zасыpiasz już
 tylko przy otwartym oknie.
 Budzisz się z ptakami. Mówisz szeptem,
 jakbyś szumiał i coraz mocniej
 trzeszczy ci w kościach.

Do M.

Nie umiem pisać o tobie.
Boli mnie ta pustka. Brak słów, którymi
mogłabym wyrzeźbić
twoją postać.
Uderzam w strunę pamięci. Nie wydaje
dźwięku.

Nie zabrzmi pieśń. A obraz?
Musiałabym go namalować łzami.
Jak ten malarz, który malował ocean
morską wodą.

Atrament jest powiernikiem treści.
Łza emocji.
To smutne, ale biel kartki jest wszystkim,
co mam o tobie do powiedzenia.

Tożsamość

dawno temu miała imię i zdrowe zęby
była młoda
rodziła dzieci kochała
teraz jest po prostu Szamanką
odeszła od siebie
w związek z innym rodzajem odczuwania

jest szczęśliwa
nosi orzechy w brzuchu
ma czas dla saren i ludzi
każdej wiosny
topnieje w niej życie rosną włosy
kiedy dosięgną ziemi
zaczyna wrosnąć w nią jak korzenie
wtedy umrze

zostało jej nieco ponad
pięćdziesiąt centymetrów życia

Wiedząca

Szamanka wstała o świcie i milczy
dzisiaj spotka się ze śmiercią
umrze dziecko a jego matka oszaleje
z rozpacz

Szamanka wie o tym i czeka
patrzy w stronę wioski
stamtąd przyjdzie smutek
złowroźna bestia
nie pomogą czary
nie zetrą mgły z oczu nowo narodzonej

Szamanka wie o tym i czeka
nocą rozmawiała z duchami
paliła gałązki jałowca
przyszły do niej wizje a w nich
dziewczynka
biegała po łąkach w krainie umarłych
jej dusza nie chciała wracać do domu
dziewczynka śmiała się
nie słyszała krzyku zrozpaczonej matki

Szamanka nie ma lekarstwa
ani na śmierć ani na ból
wie o tym
mimo to czeka

Roman Rzuciło

Opowieść drogi

Dziesięć godzin na autostradzie, noc
w podrzędnym motelu. Tyle ominiętych
znaków,
tyle oddechów rozpylonych na szybie.
Miasteczka
o piętrowych nazwach: Churchtown,
Oakwood, New Heaven
A jednak chce się jeszcze trochę pożyć.
Żeby wyprzedzić
maruderów, czuć przed sobą przestrzeń.
Ameryka jest
wielka. I ma tak wiele do zaoferowania: od
płonących
wieżowców po dziurawe buty
bezdomnego.

Ale z tego wszystkiego wolę jednoczyć się
z pędem.
Kiedy biała korweta rozrywa mrok, nie

nikogo. Kiedy gwiazdy przylepiają się do
szyb.
Liczy się tylko prędkość. Pod spodem gniją
wraki.
Po wierzchu suną kosmiczne żaglowce,
euforia
na milionie stadionów. Produkcja w parze
z konsumpcją. Ameryko, jesteś wielka.

W jednym ze snów – kuleczki plasteliny do
rozgniatań
paznokciem, milczą wiekowe sekwoje w
parku Yosamite.

Bezinteresowność

Są ludzie, którzy nie robią tego co wszyscy.
Jakby nie znali pewnych pojęć. Władza.
Bogactwo.
Sukces. Rozrywka. Bogactwo. Przez wąskie
szczeliny
zawsze wygląda coś, co się nie opłaca.

I może tym właśnie warto zająć się
najpierw:
tych 36 sprawiedliwych, którzy utrzymują
świat
przy istnieniu. Wystarczy, że jednego
zabraknie,
a już rozplące się Arktyka, zwiędnie
szczyt
Kilimandżaro. Inwestujmy więcej
w kapelusze
żebraków, dzięki temu na pewno ktoś
przetrwa.
Nic bardziej potrzebnego niż stołówki dla
ubogich,
wtedy może da się ocalić zielone płuca
planety.

Bo ktoś musi wyrzec się tego, czego chcą
wszyscy.
Władza, sukces, bogactwo. Bogactwo-
robactwo,
i tak zgniło w nim zbyt wielu pewnych
siebie.
Pewność siebie, najgorsze ze złudzeń.

A wieczorem, kiedy poświata telewizorów
barwi okna, nacisnąć ten dyskretny
przycisk,
który wyłącza wszelką złość.

Szpitalny

W nocy przychodzą do mnie. Wychodzą
ze ścian, spływają z sufitów, nawet
zakratowane okna nie są w stanie ich
zatrzymać.
Stają wokół mojego łóżka, ich twardy
wzrok
aż boli. W rękach rozbite instrumenty.
I ani słowa, tylko to spojrzenie ze stali.
Wiem po co

tu przyszli, chcą zwabić mnie w słodkie
siłła,
na zawsze pozbawić złudzeń. O nie.
Kiedy szpital wywraca się podszewką do
góry,
widać jego intymny krwiobieg, ślady po
lobotomii
ukryte pod dyskretnym całunem.

Nad ranem przez otwarty dach startują
windy.
Budzę się i nie pamiętam. Znów
zatrzymały mnie
skórzane pasy przy łóżkach. Z okna widać
jak błoto
bierze szturmem wszystkie podwórka,
dymy

przeciskają się przez szczeliny, opadłe
liście
lepią się do butów. Już jesień, grypa
sznuruje
usta, owady przemieniono w krople
deszczu.

Marta Kopiec

Tęsknota

W zamkniętej szafie
cisza zakłada
coraz to nowe sukienki.

Czujesz aromat
świeżo zaparzonej kawy.
Zapach zroszonych traw i kwiatów
pobudza twoje zmysły.

Wiatr otula cię
przyjemnym chłodem,
a na twarzy pojawia się rumieniec
dar porannego słońca.

Kamień

Milczy.
Głęboko wbity w ziemię.
Przyjmuje tylko zimne krople deszczu.
Suchy liść ubiera jego nagie ciało.
Bezdomny staruszek
z wczorajszą kromką chleba w ręce.

Jesień

Dostojna, lecz kapryśna.
Urokiem swojej natury
zagląda do szafy.
W cieple kominka
W blasku świecy.
Otula kolorowym płaszczem
smutek chłodnego poranka.

Magdalena Kapuścińska

Rad, zem Polon, czyli... Skłodowska-Curie, polska spiritus mundi, a nawet movens...

Jak Boga kocham nie potrafię pojąć, o co ta cała prowokacyjna zadyma z rokiem Leśmiana. Przecież był bardzo dobrym poetą, jego tekstów uczą się adepci w szkołach aktorskich. Ale czy to jest powód, by wynosić go ponad innych poetów tym bardziej, że byli wybitniejsi? Dla mnie nie ma znaczenia, dlaczego właśnie on, a dlaczego właściwie nie. Wiem jedno! Gdyby żyła Maria Skłodowska 7 listopada 2017 roku skończyłaby okrągłe 150 lat i dla mnie jest zdecydowaną faworytką do uświetnienia pamięci o niej w 2017 roku.

Tak, wiem. Pamiętam, że rok 2011 był **rokiem Marii Skłodowskiej-Curie** w Polsce. Ba! Nawet **Międzynarodowy Rok Chemii**. Dziś, w czasach „Misiewiczów, Macierewiczów i Maliniaków” raczej nie miałyby szans, bo dla nich byłaby tylko Żydówka, ateistka, heretyczka i rozwiązła wiedźma. Zaprzysiężniony z nią Einstein zawsze podkreślał, że „tyle erotyzmu nie widział w oczach żadnej kobiety”.

A przecież Maria Skłodowska to genialny fizyk o bardzo ścisłym umyśle. Fakt, w wolnym czasie interesowała się spirytyzmem, badając zjawiska paranormalne. Przełamywała wszelkie bariery, pokonywała wszelkie blokady i kłody. Uwielbiana na świecie – i choć Polka – tutaj, w kraju – wciąż nie jest do końca doceniona.

Dzielnie walczyła z przeciwnościami losu i z własnymi słabościami. To właśnie ona przyczyniła się do zainicjowania badań nad leczeniem raka za pomocą promieniotwórczości, tym samym stając się prekursorką radiochemii. Mało, kto wie, że nasza wcale nie-sierotka podczas I wojny światowej robiła skarpety na drutach żołnierzom.

Dla mnie to wzór upor, niezależności, intelektu i walki o równouprawnienie. Niestety, jeśli w sprawy kultury i czerpania wzorców miesza się politykę, to jestem pełna obaw, czy wysuwać kandydaturę naszej wielkiej Polki, (która pokazała naszą wielkość przed całym światem). Przecież zaraz ktoś wyciągnie argumenty, że „żyła” z Francuzem, a przecież te nieszczęsne Caracale itp. W dodatku nie miała ślubu kościelnego z Piotrem Curie, a dziś katolicy w białych rękawiczkach uśmiercają demokrację rękoma ojca dyrektora. Na domiar jej nieszczęsnego życiorysu, z powodu badań prowadzonych nad radem, zmarło jej nowonarodzone dziecko. Musiała to być dla niej ogromna trauma i krzywda psychiczna. Nie poddała się jednak wyrzutom sumienia, ani niepochlebnym opiniom najbliższego środowiska.

Przez około dwadzieścia swoich najmłodszych lat mieszkałam na ulicy Skłodowskiej i byłam z tego faktu bardzo dumna, gdy odkryłam, kim była. Dwukrotna Noblistka, francuska naukowiec polskiego pochodzenia. Kobieta z temperamentem, która swoją chemią działała nie tylko na mężczyzn. Była zdeterminowana w dostaniu się na studia. W Polsce, w czasach, kiedy żyła było to niemożliwe, kobiety niewiele mogły, a i w Francji zdarzało się bardzo rzadko, by przyjęto kobietę na studia, a nawet jeśli, to ciężko było jej się przedostać do samego jądra środowiska kipiących szowinizmem mężczyzn. Skłodowska wiele musiała znieść. Na szczęście ciężką pracą udało jej się nie tylko zaistnieć w środowisku, ale i dokonać przełomowego odkrycia. Lata pracy nad promieniowaniem przeplątała ciężką chorobą i życiem. Na szczęście dla Polski zostawiła po sobie znak polskiej jakości, mądrości i wytrwałości, odcisnięty na rozwoju medycyny i badań nad radioaktywnością.

Ubośtwiam tę kobietę, która była pierwsza niemalże we wszystkim. Np. prawo jazdy, które było jej niezbędne do prowadzenia samochodu Renault z aparatem RTG, by jeździć na pola bitew i wykonywać zdjęcia żołnierzom w czasie I wojny światowej. Pierwsza kobieta, która otrzymała nagrodę Nobla i powtórzyła ten sukces. Realizowała się z determinacją, mając troje dzieci. To właśnie jej otwarty umysł i niesamowita siła woli doprowadziły ją do takich sukcesów. Pierwszy profesor w spódnicy, pierwsza kobieta pochowana w Panteonie. Jej starsza córka, Irene, również podzielała zainteresowania matki, co zaowocowało także nagrodą Nobla. Natomiast druga córka – Eve była humanistką w pełnym słowa tego znaczeniu, udzielając się w akcjach UNICEF-u i która napisała biografię swojej matki pt. „Madame Curie”.

Skłodowska wychowana w duchu patriotycznym w czasach zaboru rosyjskiego od najmłodszych lat przeciwstawiała się zniewoleniu. Kiedy jej rówieśniczki uczęszczały do gimnazjum po to, by zostać guwernantkami, Maria marzyła o wielkim świecie nauki. Uważała, że nie ma nic piękniejszego w świecie jak nauka i wiedza. Miłość tą prawdopodobnie zaszczerpił jej ojciec, który w chłopięcym gimnazjum uczył fizyki i matematyki, a jego domowy gabinet przyciągał nierzadym magnesem młodą Marysię kolekcją minerałów i najróżniejszych przyrządów pomiarowych.

Siostry Skłodowskie (Maria i Broni-

sława), gdy tylko odkryły, że na francuskiej Sorbonie zaczęły się pojawiać kobiety umówiły się, że i one tam się wybiorą, działając bardzo rozważnie i przewidując wiele problemów. Najpierw wyjechała Bronka – jej starsza siostra, by studiować medycynę. A co robi wtedy Maria? Przyjęła pracę guwernantki w Szczukach pod Warszawą ucząc dzieci zarządców posiadłości. Jakby tego było mało za zgodą swojego pracodawcy uczyła wiejskie dzieci czytania, pisanie i liczenia, co było niebezpiecznym hobby w tamtych ciężkich czasach dla Polski. Czyż jej niezwykła postawa pozytywistyczną nie zasługuje na to, by uczynić ją królową 2017 roku?

Myślę, że dzisiejsze kopertówki (damskie torebki) powstały na wzór podręcznika do fizyki, który Skłodowska zabierała ze sobą prawie wszędzie. Także mogła zostać podobnie jak Coco Chanel rewolucjonistką światowej mody.

Przyszedł czas, że wyposażona w umiejętność dokonania analizy chemicznej udało się do Paryża, zamieszkała z siostrą i szwagrem, dostała się na Sorbonę na wydział fizyki i chemii, udało jej się wydzielić rad dzięki wiedzy zaczerpniętej w Polsce. Wiem, wiem i Piotr Curie miał swój udział, ale przecież to nie jemu poświęciłam ten szkic. Z drugiej strony być mężem inteligentnej kobiety to ciężkie wyzwanie dla każdego mężczyzny. Na szczęście była między nimi chemia, wiązania cząsteczkowe...

Polka – Maria ze Skłodowskich wspięta się na szczyty nauki na obcej ziemi. Była jedną z największych polskich emancypantek, która utorowała drogę do sukcesu wielu naukowcom w sukienkach. Czy to oznacza, że łatwiej zrewolucjonizować świat, niż własną ojczyznę?

Jako jedynej wizerunek widniał na polskim banknocie o nominale 2000 zł w czasach PRL-u. Jeden z moich znajomych studiujących na prestiżowej angielskiej uczelni (Cambridge) twierdzi, że tam o Marii uczą bardzo dużo. Niestety także uczą, że w dobrym tonie używanie jest tylko nazwiska Curie po mężu i któremu to większość sukcesu przypisują... Czy nie powinien ktoś zbadać tego patologicznego spojrzenia na zasługi i odkrycia wielkich Polaków dla świata? Mijają wieki, a Polska wciąż jest spychana na margines. Maria Skłodowska-Curie to prawdziwy spirytus mundi!

Nikt dotychczas nie zdołał stracić jej z panteonu zasług dla Polski, dla świata, dla nauki, inspiracji dla mnie...

50. książka Heleny Gordziej

„Żegnam Erato”

W twórczości wielkopolskich literatów dorobek **Heleny Gordziej** jest jednym z najbardziej okazałych.

W październiku br. ukazała się 50. książka poetki, pt. „Żegnam Erato”. Sam tytuł można różnie interpretować, bowiem czytelnik ma prawo doszukiwać się w nim oświadczenia, prowokacji lub nawet przekory – tak płodna, aktywna poetka być może pisze dalej i niewykluczone, że (znając poczucie humoru autorki) powstanie jakaś forma „Erraty do „Żegnam Erato”. Tym bardziej, gdy pożegnaniu przeczą słowa już w pierwszym wierszu książki: *...modlić się o śmierć nie wypada / przecież podarowano nam życie / do wypicia po ostatnią kroplę...*

I chociaż *...ucieczka w głowie / samo-unicestwienie...*, to *Przywiązanie do ziemi magnetyzuje...*, więc tym bardziej *...nie wolno zboczyć z wytyczonych torów*. Jednak trzeba wziąć pod uwagę, że poetka tej miary i powagi, chociażby z racji wieku, raczej nie bawi się czytelnikiem, którego od zawsze szanuje, a przede wszystkim nie przekomarza z niepewną przyszłością. Niemniej czytelnik może czekać na kolejne wiersze.

Poezja Heleny Gordziej to nie intelektualne wynurzenia wymagające głębokiej analizy. To wiersze pisane prostym, zrozumiałym językiem. W ostatnio wydanym, pięćdziesiątym tomie, autorka dokonuje rozrachunku ze swoim pisaniem, z przeszłością i gorzką teraźniejszością, okresem bolesnego dzieciństwa i czasem, w którym dostrzega starzenie się swoich własnych dzieci. Dłonią, która obejmuje pióro wzdłuż linii życia, kreśli przed nami swoje myśli, rozsypuje garść wspomnień, również takich, których ból lepiej tu przemiknąć. Zwraca uwagę, jak należy postrzegać ludzi i świat, przez pryzmat zdarzeń i doświadczeń oraz czego, jakich zjawisk nie należy aprobować: *...czas ucieka poza granice / naszej wyobraźni / a my – błażni czy klauni / hołdujemy żarłocznej epoce / wszyskobrania...*

Ważna jest miłość do drugiego człowieka: *Z kieszeni serca / wyjmujemy zdania co do niedawna / leżały zapomniane na jej dnie / częstujemy nimi przygodnego człowieka / jeśli nadstawi czystą dłoń.*

Ważna jest w wierszach poetki miłość matki do dziecka i bolesny brak tej miłości. Otwarcie też przyznaje: *przyczepiła się do mnie / już w dziecięcym wieku / trzyma się mocno w sercu / w mózgu – niczym rzep...*

Dużą uwagę poświęca poetka zwierzętom. Konie są wyjątkowym obiektem miłości w wielu tomach wierszy, również w omawianym.

Wzruszająca jest „Rocznica urodzin”: *W rocznicę moich „starczyczych urodzin” / wczesnym rankiem poszedłeś w pole / żeby zerwać bukiet chwastów które kocham / z radością zagrałeś na fortepianie / deszczowe preludium... Synu / Ciebie i czerwone maki w bukiecie / pocałowałam pieczęć pachnącej ły.*

W wierszu pt „Wiatr” znajdujemy odniesienie do czasu, który określa pory życia drzew i ludzi w jednakowej mierze. Czekanie na drwa napawa lękiem, bowiem wcześniej, słyszalne przez lata uderzenia siekier, głośiły zawsze czyjaś śmierć. Ale z kolei w „Zwiewnym widowisku”: *Zapatrzona w ekran nieba / bezpłatnie oglądam widowisko / baletu chmur. I cóż – zachwyt poetki, która czerpie spokój z widoku za oknem sprowadza się do pragnienia ciągu dalszego ...żeby tylko doczekać jutra.* Okno w wierszach Heleny Gordziej jest pełne życia, jest w nim ruch, barwa, taniec cieni, muzyka, ale też nostalgia: *...przypomnił mi się las / stare pochyłe drzewo / pod którym / spowiadałam się z żalu / z tęsknot za minionym czasem.*



Foto: Adrian Wykrota

Helena Gordziej

W mieszkaniu poetki *Starość zaciera pomarszczone ręce. I jest to najbardziej przykre, co może zdarzyć się człowiekowi aktywnemu przez całe życie – samotność w mieszkaniu, mimo bliskości bliznich. Samotność w mieszkaniu zmienia się w więzienną samotność, a człowiek powoli nabiera poczucia utraty własnej, także twórczej, osobowości. Wpatruje się w obraz na ścianie, oddycha wspomnieniami: ...Tu była moja młodość uboga / ale szczęśliwa / Tu nastrój beztroskiego jutra.*

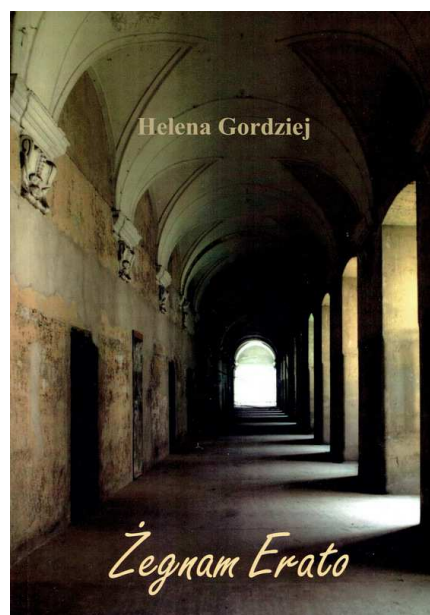
Helena Gordziej bez patosu pisze o pożegnaniu, w słowach spokojnych i opanowanych (*Przed zejściem z areny, Odchodzenie*), czasem z odrobiną autoironii: *Czuję jak powoli / życie dyskretnie opuszcza / pałac mojej anatomii... serce zmienia ilość uderzeń... / ileż lat może przechowywać / w komorach gorzkie rozprawy / zdeprawowanego świata... Chcę uciec daleko – bezpiecznie / w ramiona Matki Ziemi.*

Tom wieńczy tryptyk o tytule, stanowiącym tytuł całego tomu – „Żegnam Erato”: *Długo mieszkalam / w krainie twoich słów... Już byłam pewna / mocy przetrwania niepowodzeń... Ale Ty umilkłaś / otworzyłaś drzwi mojego Ego / i zostawiłaś ciszę.*

Helena Gordziej świadomie, przed zamknięciem za sobą bramy literackiego ogrodu, układa strofy w bukiety i pozostawia mimochodem w podcieniach przy poznańskim rynku (okładka książki). Towarzyszy jej satysfakcja – świadomość książkowej zawsze obecności w domowych bibliotekach bliskich i dalszych literackich znajomych.

Szanowna Poetko – prosimy jednak o „Erratę”.

Anna Andrych



Helena Gordziej, *Żegnam Erato*. Zdjęcie na okładce: archiwum Autorki. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 91. Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 44.



Rys. Barbara Medajska

prof. Kazimierz Świągowski

Lam Quang My – poeta miłości (I)

Wielki Goethe powiedział, że jeśli chce się poznać poetę, trzeba wejść do kraju poety. Słowa te Adam Mickiewicz w wersji oryginalnej („Wer den Dichter will verstehen/ Muss in Dichters Lande gehen”) umieścił jako motto do swego genialnego cyklu *Sonetów krymskie*. Niemiecki poeta oczywiście miał na myśli wewnętrzny „kraj” każdego prawdziwego poety, a więc świat jego szczególnej wrażliwości i wyobraźni odrębny od świata zewnętrznego, w jakim bytują wszyscy – wrażliwi poeci – i niewrażliwi.

A oto mamy w Polsce poetę, którego dzieło, aby mogło stać się w pełni zrozumiałe, wymaga od czytelnika i badacza wejścia do dwóch jednocześnie krajów: kraju wewnętrznego i kraju zewnętrznego. Ten drugi to kraj odległy od nas o tysiące kilometrów, istniejący w innej niż nasza przestrzeni zarówno geograficznej, jak i przede wszystkim, kulturowej. Jest nim Wietnam. Poeta, o którym chcę teraz pisać, nazywa się Lam Quang My i jest osiadłym od paru już dziesięcioleci w Polsce Wietnamczykiem. Przybył na studia do Polski jako dziewiętnastolatek w 1965 roku. Po ukończeniu rocznego kursu języka polskiego we Wrocławiu rozpoczął studia na Politechnice Gdańskiej na kierunku elektroniki. Po ich ukończeniu powrócił do ojczyzny i tam pracował w swoim zawodzie w stolicy Hanoi. W 1989 znowu znalazł się w Polsce wraz z żoną i rozpoczął studia doktoranckie w Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Następnie już jako doktor nauk fizycznych pracował w Instytucie Fizyki PAN-u. Obecnie na emeryturze, jest szczęśliwym ojcem córek i wnucząt. Jest dumny z polskiego obywatelstwa, a także z obywatelstwa honorowego, jakie nadała mu gmina Krasne w Ziemi Zygmunt Krasińskiego. Píše wiersze także w języku polskim. Wiersze wietnamskie przekłada na polski z pomocą Pawła Kubiaka oraz innych poetów – zarówno własne jak i klasycznych poetów wietnamskich. Wydał cenną *Antologię Poezji Wietnamskiej od XI do XIX wieku* (Wyd. IBIS, Warszawa 2010). Aktywnie uczestniczy w polskim życiu literackim. Mieszka w Warszawie. Lam Quang My to jego pseudonim literacki (po wietnamsku znaczy Jasny Piękny Las), właściwe nazwisko brzmi – Nguyen Dinh Dung.

Czytając wiersze tego poety zawarte w tomie *Przemija życie**, który jest wyborem, doznajemy szczególnych wrażeń, bowiem cechują się one, podobnie zresztą jak i wiele wierszy zawartych we wspomnianej wyżej *Antologii Poezji Wietnamskiej*, nie-

zwykłą wprost delikatnością, powiewnością i rzadko spotykanym słonecznym kolorytem. Delikatność, subtelność i swoista powiewność to często spotykane cechy sztuki Dalekiego Wschodu. Czyż nie dlatego muzyka Chopina odznaczająca się w wyjątkowym stopniu tymi właśnie estetycznymi walorami podbija serca artystów tamtej strony świata, którzy święcą coraz częściej triumfy na Konkursach Chopinowskich w Polsce i rozślawiają ją po całym świecie? Również cechy te widoczne są w malarstwie, grafice i rysunku Dalekiej Azji. Niestety cechy te i związane z nimi wartości znajdują się w całkowitym niemal zaniku w sztuce europejskiej, w tym w sztuce słowa – poezji. Darmo ich tu szukać, gdyż ustąpiły miejsca brutalności słowa, trywializacji ekspresji. Ich opiekuńczym bóstwem stały się szorstkość i szok. Z poezji wypędzono już dość dawno muzyczność brzmienia i malarstwo obrazów oraz ich harmonijne związki. Zaniechano głębi, jakie mogą skrywać w sobie odwieczne symbole, gdyż odrzucono te symbole, zastępując je językiem przedmiotów danych w bezpośrednim doświadczeniu życia codziennego zarówno indywidualnego jak i zbiorowego. Subtelność, delikatność, wdzięk, gracia, uduchowanie i tym podobne jakości estetyczne pojawiają się we współczesnej sztuce rzadko, a jeszcze rzadziej stanowią przedmiot uznania ze strony krytyki literackiej; nie zatrzymują jej uwagi. A to dlatego właśnie, że nie są dla współczesnej poezji typowe, jawią się jako relikty minionych epok, minionego smaku.

Czy rzeczywiście tylko minionego? Czy ludzie ogólnie wrażliwi na sztukę nie są też na nie wrażliwi? Czy to nie jest, być może, tylko wymysłem współczesnych twórców, krytyków i teoretyków, że dziś te jakości sztuki i związane z nimi wartości są nie do przyjęcia? Czytając wiersze naszego wietnamskiego poety, można zasadnie snuć takie wątpliwości. Jego tom *Przemija życie...* złożony został z pięćdziesięciu czterech wierszy. Znakomita ich większość to wiersze o miłości. Zagłębiając się w ich lekturę można odnieść wrażenie, że stanowią ogniwa jakiegoś traktatu o miłości. A to dla bogatej różnorodności sytuacji lirycznych objawiających to uczucie. Jawi się ono, ogólnie rzecz ujmując, jako wyraz duchowego związku z wybraną kobietą – jedyną i niepowtarzalną. Nie jest to jednak romantyczna „kochanka” zazwyczaj trudna do osiągnięcia lub, częściej, w ogóle nieosiągalna. A więc taka, do której miłość staje się udręką i porażką bohatera lirycz-

nego, za którym z reguły ukrywa się sam poeta. Owszem, u naszego poety można mówić o romantyczności wybranki i o romantycznej do niej miłości, lecz w tym jedynym, acz jakże istotnym sensie, że siła jej jest natury duchowej i stanowi energię scalającą dwie osoby w jedną złożoną harmonijnie istotność, bezwzględnie sobie we wzajemności oddane. Jest to więc siła twórcza i ocalająca zarazem, siła tworząca usensowaną przestrzeń życia. Nie ma w niej cienia zmysłowości tak natrętnie obecnego we współczesnej liryce i w całej zresztą sztuce europejskiej.

Czymże więc jest ta miłość ukazana w wierszach Quang My? I w jakich sytuacjach lirycznych została ujawniona? Najogólniejszą jej właściwością okazuje się to, że jest czwartym wymiarem świata, w jakim bytuje człowiek, jeśli dąży do pełni swego człowieczego bytu:

*Moja przestrzeń miała trzy wymiary
– za ciasno
Nagle znalazłem wymiar czwarty
– miłość bez dna*

(Czwarty wymiar, s. 9)

Można tu tylko dopowiedzieć, że jeśli „bez dna”, to znaczy, że jest ona siłą wprowadzającą człowieka w wymiar nieskończoności. I zarazem siłą ocalającą od tego, co trywialne, codzienne i jakoś fizycznie ograniczające, a tym samym zniewalające człowieka. Miłość otwiera więc pejzaż wolności. Ale zarazem nas pogłębia:

*Ranek pogania ranek
Dzień jest krótki tylko miłość długa
Wiosna lato jesień mijają
Parują jak woda w płytkiej rzece czasu
Jej wartki strumień zgłębia dna – miłości*

(Czas, s. 15)

Pogłębia, bo wszystko, co podlega czasowi wraz z czasem przemija, ujawniając w ten sposób swoją płytkość zakorzenienia w bycie. Wszystko – prócz miłości. Ta jest na końcu czasu, tam, gdzie wygasa przemijanie, gdzie jest dno wszystkiego, a zatem jakby tylko czyste trwanie. Chciałoby się w tym momencie przywołać słynne słowa z Hymnu o miłości św. Pawła o trzech wielkich cnotach, z których „największa jest miłość” (I Kor 13,13).

O tym, że miłość zwycięża czas, możemy przeczytać w takich słowach naszego poety:

*Czy istnienie chmury zasmuca księżyc
(...)*

*Czy most od zawsze jest kochankiem rzeki,
Czy z twego powodu nie pamiętam*

o przemijaniu...

(Czy..., s. 41)

O tym, że miłość nie przemija i pogłębia nas w naszym jestestwie, wchodzi niepostrzeżenie w sny dla powtórzenia czasu, w którym się była pierwotnie objawiła, mówią też i takie słowa:

*Czy pamiętasz kiście małych białych kwiatów
Kwitnących na drodze naszego dzieciństwa?
Na tej drodze małych białych kwiatów
Tak często bywamy we śnie...*

(Białe kwiaty, s. 101)

*Czas przeszły snem do mnie wraca
Dzwon świątyni budzi mnie ze snu*

(bez tytułu, s. 101)

W przytoczonych dotąd przykładach miłość można było interpretować niejako ontologicznie, a więc najogólniej i w wymiarze uniwersalnym. Ale większość poetyckich jej obrazów ma charakter liryczno-psychologiczny. W ten sposób można określić taki np. fragment:

*Nasza miłość jest jak jesienne niebo,
czas rozłąki jest jak chmury,
nasza miłość jest jak ten pociąg,
przewozi równocześnie spotkania i rozstania.*

*Czy od czasu naszego rozstania
usłyszałaś podmuch wiatru,
echo mojego głosu.*

(Poza domem, s. 67)

Czas rozstania i rozłąki towarzyszy życiu człowieka w sposób konieczny, nieunikniony. Ale jest to czas oczekiwania i tęsknoty za ukochaną, aby być razem. Bo dopiero być razem w miłości, to być naprawdę. Wszelkie zmiany w czasie i przestrzeni oddalają nas od centralnego punktu bycia, od istnienia istotnego, i wtrącają w stan psychologicznego niedosytu i tęsknoty. Mówi o tym wzruszająco druga strofa powyższego fragmentu. A przytoczmy choćby jeden jeszcze fragment innego wiersza o analogicznej wymowie, jaka emanuje z zastosowanej w nim symboliki morza, wyspy i bezkresnych wód:

*W bezkresie wody gdzieś samotna wyspa
Jak ja bez ciebie w oceanie życia*

(Nić serca, s. 97)

Mówienie o tak rozumianej i przeżywanej miłości wymaga odpowiedniego języka. Nie można jej wyrazić językiem odnoszącym się do przedmiotów praktycznych i użytecznych, zwłaszcza więc tych, które wytwarzają umysł i ręka człowieka. Pozostaje język w istocie symboliczny, który korzysta z obrazów czerpanych z natury. Poeta Lam Quang My rozciąga przed nami panoramę takich właśnie obrazów. I nigdy obrazy przyrody u niego nie pojawiają się jako samocelowe, bądź stanowiące tylko malownicze, efektowne

tło, lecz zawsze z personalnym, by tak rzec, współczynnikiem, który stanowi centralny element przedmiotowo-znaczeniowy. A jest nim adresatka całego przesłania wiersza istniejąca z tym większą w obrazach tych intensywnością, im bardziej oddalona od poety w realnej przestrzeni życia tu i teraz.

Obrazy przyrody, którymi przemawia poeta o swej miłości, nasycone są też zazwyczaj ciepłem, jakim świat mogą obdarzać tylko promienie dobroczynnego słońca:

*Gdy się znalazłem w kręgu czarnych chwil
Myśli o tobie przywoływały kwitnące kwiaty
I niebieskie niebo
Słyszałem śpiew ptaków...*

*Na drodze do miasta Hanoi
Skończyła się pora kwiatów Sua,
Wróciłaś a one znowu zakwitły,
Fale jeziora Tay nie przybijały
Pojedynczo do brzegu,
Łodyżka drzewa w ogrodzie botanicznym
Drżała z radości.
Wróciłaś, a z tobą wszystko,
Wszystko wróciło do mnie.*

(Wróciłaś, s. 69)

Może najwymowniejszym przykładem mówienia o ukochanej obrazami przyrody jest wiersz *Wiosna*, w którym dochodzi niemal do utożsamienia jej ze wszystkimi mocami, jakie objawiają się żywiołowo w tej porze roku – porze odradzającego się życia:

*Spring... spring...
Czy to ty tańczysz sprężystość, czy wiosna?
Sprężystą przestrzeń wypełnia muzyka
Snuje się zielenią jak fala przyboju
Uderza w moje okno.*

*Ty – jak fala o brzasku zawijasz się w słońce
By poderwać mnie wiosną z zimowego snu
I wszystkie smutki schować pod zielenią traw
Spring... spring*

*W jedną jedyną noc cała przyroda
Niebo i ziemia z tobą wybucha zielenią
Spring... spring...*

(Wiosna, s. 79)

Nie zawsze jednak poeta używa wyłącznie jasnych barw do tworzenia obrazów przyrody, którym tworzenia smutek rozstania, czy nadzieję spotkania. Bywają też dodawane barwy ciemniejsze i nastrój staje się jakby minorowy, lecz utkane z nich sytuacje liryczne zawsze urzekają subtelnością, klarownością i czystym pięknem jak np. w tym oto miniaturowym wierszu:

*Łagodnie pachnące kwiaty palmy
w delikatnych podmuchach wiatru.
Zawstydzony cień moreli chowa się przy ścianie.
Nie wiem! To ty, czy księżyc.
Zostawiasz moje serce jak nocną rosę...*

(Ogród w blasku księżycy, s. 105)

Albo w wierszu *Zmierch* (s. 17), w którym poeta sugestywnie wyraził misteryjny

wręcz nastrój wieczoru ogarniającego krajobraz żywej przyrody:

*Ostatnie słowo wygłosiło słońce
i zaciągnęło zorzę.
Już błękit nieba osiadł na samym dnie rzeki
ciężki tęsknotą co znikła w przestworzach
by wrócić krzykiem z tamtej strony lasu
tego, kto czeka wieki...
Ostatni promień kładzie się na zboczach
Spóźniony ptak daremnie nawołuje braci
Już linia horyzontu rozlewa się w czerń
Na czarnym tle bociany kołują ku gniazdom
Pod osłoną ciemności ośmielone góry
Padają na kolana
Cisza
Oczekiwanie
Aż stopnieje noc...*

Pochód obrazów przyrody nabiera tutaj co i raz cech ludzkich. Pojawia się bowiem „tęsknota” i „krzyk” „tego, kto czeka wieki”. Padają więc słowa przemieniające zjawiska przyrody w ludzką psychologiczną rzeczywistość – do powyższych dochodzi też słowo „ostatni” i słowo „daremnie”. Wreszcie mamy obraz gór „padających na kolana” niby ludzie w stanie czci i błagania. O co? O to, aby minęła noc – symbol złych mocy? Jest też „cisza” – stan, w którym to, co niechciane („ciemne”), przeobraża się w stan oczekiwany.

Można by wiele jeszcze przytoczyć całych miłosnych utworów, bądź ich fragmentów godnych uważnej kontemplującej lektury. Lecz warto też zauważyć, że miłość u naszego poety niejedno ma imię i nie ogranicza się do miłości do wybranej kobiety. Występuje też miłość synowska. Oto w jak przejmujących słowach wyraża ją, mówiąc o matce:

*Wychodzi z blaskiem porannej gwiazdy.
Wraca z ciężarem mgły na barkach.
Przeszedłem pół kuli ziemskiej
I to jest niczym przy jej zabieganiu.*

(Wędrowki matki, s. 81)

A oto i dramatyczna miłość syna narodu, który wtrącony został w koszmar wojny:

*Słońce tnie ziemię na kawałki.
Deszcz bombarduje moje serce tysiącem bomb.
Susza wypala oczy matki
Powódź wypływa moimi łzami*

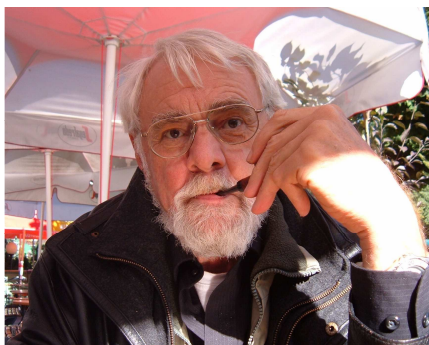
(Susza i powódź, s. 87)

Wiersz ten poprzedzony jest dedykacją: „Matkom w środku Wietnamu poświęcam”. Zwróćmy uwagę na to, że poeta unika naturalistycznych obrazów wojny, zastępuje je obrazami utworzonymi z widoków wzburzonej przyrody. A rezultatem tego zabiegu jest uniwersalizacja doświadczenia grozy tak, jakby oderwała się od konkretnej przyczyny i działała samą swoją istotą w jakiejś niemal poza-czasowej przestrzeni ludzkiej.

cdn.

prof. Kazimierz Świegocki

Zamyślenia



Opowieść wigilijna

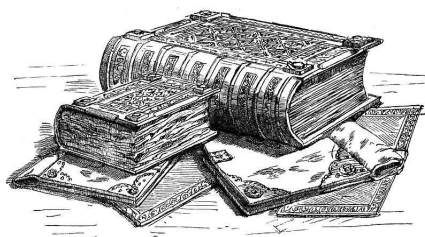
Zbliżała się wigilia, która tu, w Argentynie, kraju bądź co bądź katolickim, nie miała tak podniosłego znaczenia jak tam, w kraju. Uporczywie wracała do niego ta średniowieczna koncepcja człowieka zagubionego, o którym Platon mówił, że nie jest tym, czym jest. Sam nazywał to inwalidztwem samego istnienia. Klepał tu od samego początku biedę, zadomawiając się w tej sytuacji egzystencjalnej na dobre. Od samego początku przechodził groźne ostrzeżenia, ale trwał w tym, jak na dnie jakiegoś bagna, które go unieruchomiło. Literatura, której chciał się poświęcić, zaczynała go mierzić. Kto to powiedział, że kto wszystko chce mieć, musi wszystko porzucić?

Zawsze był za niezależnością duchową człowieka, a przecież ta jego niezależność doprowadziła go w ostateczności do tego dna egzystencji, kiedy realizacja duchowa nikczemnieje. Więc ostatecznie nie jest tym, kim chciałbym być choćby w literaturze. Po cholere uciekał z kraju przed tą wojną, co mu to dało? Teraz, kiedy otrzyma wreszcie posadę w tym banku, może wszystko się zmieni i przyszłe święta będą wyglądały inaczej. I wreszcie wszyscy dowiedzą się, kim jest Gombrowicz! A kim jest? Trzeba widzieć drugą stronę medalu. Pisarze często przerysowują swoje idee po to, aby zyskać większą wyrazistość. To fakt, że był zawsze prowokatorem, ale przecież działał na rzecz wzmocnienia u swoich cholernych rodaków ich nikczemnych czasami osobowości. Chciał sprawić, aby nie poddawali się i ulegali tak łatwo społecznym imperatywom, które nakazują działać tak lub wierzyć tak, a nie inaczej i wyrzekać się własnego zdania. I za to nazwają go kiedyś anty-Polakiem. Cholera! Ale może kiedyś dojdą do przekonania, że jego twórczość to walka w interesie rodaków jako jednostek.

Po cholere zajął się samym sobą w ten przedwigilijny wieczór? Spoglądając na swoją twarz w tym ułamku lustra, widział kogoś obcego, narysowanego groteskowo

grubą linią. To ja, czy nie ja? Najlepiej wiedziałaby jego matka. Nie miał grosza przy duszy, więc tym razem nie przesłał jej trochę grosza na te święta. Napisał tylko list. Napisał też list do Schulza, który podobnie jak on, zbierał ciągi krytyczne wrogów literatury. A przecież to wielkie pisarstwo z tym pięknym poetyckim językiem, którego czasami mu zazdrościł. Nie będzie na te święta sam. Przecież ma tu tylu przyjaciół. I jeszcze pół butelki wina. Opędzi się od nocnych lęków pascalcowskich...

Kazimierz Iwossé



Nie wszystek umrę

Non omnis moriar – nie wszystek umrę. Jesteśmy śmiertelni. Każdemu z nich należy się od nas żyjących najlepsza pamięć. To co nas czeka zawsze przychodzi za szybko. Jest nieuniknione i przerażające. Życie jest podróżą gdzie nie powinno być zgody na przemijanie, na odejście z tego świata. Ale z tym trzeba się oswajać i zaprzyjaźniać. Nieskończoność streszcza się w zadumie. Dotykamy tajemnicy bytu bez względu na to czy wierzymy, czy nie. Przychodzimy na świat w tajemnicy rodząc się. Życie jest tylko epizodem. Żyjemy aż po kres naszych dni. W czym tkwi tajemnica życia i jego kres, tego nie wiemy. Towarzyszy nam zdziwienie nad rzeczywistością tego, co tworzy nasz świat. *Memento mori* jest mądrą sentencją nadającą dynamikę życiu. To przecież nasze odejście wyznacza kierunek ewolucji i tym samym kierunek życia, ale nie można tego zamknąć biologią. Stwórca pochyla się nad nami. Płacze razem z nami. Raduje się z nami. Mówi nam, że początek zaczyna się w każdym człowieku a kres jest częścią przemijania wszystkiego. Dzisiaj pochyleni nad tymi co odeszli, wpatrzeni w ludzkie nie wiem, dotykamy tajemnicy człowieka. Dzieje się to w milczeniu i pozostanie milczeniem. Największym dobrem jaki możemy dać zmarłym jest pamięć o nich. Wspomnienia żyją dopóki my żyjemy. One nie pozwalają pozbyć się myśli: to niemożliwe, że odtąd

będziemy już tylko wspominać. To niemożliwe, że to życie już tu na ziemi wśród nas się zamknęło, że nie będzie już w nim żadnego jutra. Jeszcze jedna uparta myśl żłobi nasze wspomnienia, myśl o słowach, których nie da się już im powiedzieć, o gestach których nie doświadczyć od nas. Nie można a tak bardzo by się chciało powiedzieć im, jeszcze czegoś, czego powiedzieć się nie udało jak byli wśród nas, zrobić dla nich coś, na co brakowało jakoś czasu a zrobić to tak bardzo było trzeba. Kto wie czy te myśli nie dręczą nas dzisiaj najbardziej, czy to nie one ścisną nasze serca w jakimś niewysłowionym żalu?

Jest jednakże coś co nas dziś łączy najmocniej, choć też w bardzo różnym stopniu i skali niejednakiej – to wspomnienia. Antropolog Ernest Becker w książce „Odrzucenie śmierci” napisał „Człowiek jest dosłownie rozdarty na dwoje: zdaje sobie sprawę z własnej wyjątkowości, majestatem góruje nad resztą przyrody, a jednak na koniec wraca tam pod ziemię i znika na wieki”. Wiara, że po śmierci jest coś jeszcze daje nam egzystencjalne pocieszenie. Im bardziej o tym myślimy, odrzucamy bogactwo czy sławę i skupiamy się na rozwoju osobistym i podtrzymywaniu związków z innymi ludźmi. Czasami wkłada się w nasze życie świadomość, że świat jest niedobry, ale świat nie jest zbudowany tylko ze zła, cierpienia, nieszczęścia i walki. Jest w nas nadzieja, że wszystko ma swój sens i zawsze jest coś dalej. To jest życie – mówisz witaj, mówisz żegnaj, nigdy nie wiesz czy to do zobaczenia, czy to koniec dnia, czy koniec twojego życia w labiryncie codziennych zdarzeń trzymając się niewidocznej nitki życia.

Wiesław Prastowski



Kozetka (16)



Jesień w stylu art deco*

*Rozmawiać i poznawać
na tym polega szczęście.*

Platon

Joanna Friedrich

*Napisałam ten tytuł i zaraz do głowy przyszły mi nazwy sukienek w Paryżu, w czasie wojny: „Szron”, „Ostatnie metro”, „Wieczorne pogawędki”, „Lepiej się czyta, kiedy jest ciepło”, „Czarna kawa”...

Pochodzą z książki, „Moda w okupowanej Francji i jej polskie echa” Krzysztofa Trojanowskiego. Długo poszukiwałam książki, która mimo, że traktuje o wojnie, to czyta się ją z przyjemnością i wreszcie znalazłam – to jest to!

Internetowa sieć oplata kulę ziemską tak mocno, że czasem musi ona czuć się jak zwierzę we wnykach.

Cyberniebo to świat wolności słowa, niezmierzone obszary wiedzy i informacji, autostrady dobrej energii, nośniki trendów, sztuki i mody.

Być albo nie być współczesnych Hamletów.

Ale też śmietniki i ścieki. Obieg otwarty. Publiczne lincze i wyniki. Wolny wybieg. Toksyczny chów. Niekończący się las serwerów.

Krótko mówiąc: nowe media, jeszcze nowsze media, social media.

Czasem, zmęczona literkami, obrazkami, newsami i klawiaturą, jadę na przejażdżkę. Idealna jest ta powyżej

1000km. (Każdy ma swój dystans, niektórym wystarcza skok w bok.)

Nie wiem, czy mi się wzrok wyostrzył, to raczej, u krótkowidzki, niemożliwe – ale w tym roku inaczej widzę jesień.

Jest bardziej złota i bardziej geometryczna niż inne moje jesienie.

Być może to właśnie zaczyna się moja jesień życia. Podobno kobiety, jak wino, stają się, z upływem czasu bardziej wytrawne.

Właśnie czuję ten smak na języku. To znaczy czuję ten smak oczami, ale nie mogę znowu zaczynać przemawiać językiem Króla Juliana. Czas w końcu kiedyś spoważnieć.

Jadę więc sobie spokojnie autem, spokojnie, bo ważne, aby jesienią przejażdżka miała miejsce na miejscu pasażera. Oglądam piękne krajobrazy, małe i duże, białe i kolorowe miasteczka.

Drzewa równiutkie jak z klocków lego, stadniny, mosty, rzeki. Świat wygląda jak rozciągnięta mandala. Do tego odpowiednia muzyka i wracam do swojego tempa.

(Co ciekawe, w niemieckim radio trwa dyskusja czy można jeździć nago samochodem i chodzić nago po ulicach. Odpowiedź: można jeździć nago samochodem ale trzeba założyć buty, bezpieczeństwo, to podstawa. Natomiast na ulicy można przebywać nago do momentu, aż ktoś nie zwróci nagej osobie uwagi, wtedy osoba może się udać w inne miejsce i tam nadal być nago...

Jakże miła odmiana, jeśli chodzi o poziom, poziom abstrakcji, merytorykę i dowcip...)

Kobieta jest nie tylko jak wino. Podobno też, ma wiele wspólnego z najpiękniejszymi istotami na świecie – końmi.



Zarówno u kobiety, jak i u konia bowiem, niezmiennie ważną rolę odgrywa tempo. Pewnie odkrył to ten, który powiedział, że najpiękniejsze są kobiety w tańcu i konie w galopie.

Jesienna natura otula. Wszędzie zasłony i dywany z liści. Z mgieł i liści. Rozsypany złoto-czerwony dywan na nasz powrót.

Najbardziej na powrót cieszy się, wiadomo – pies. W jesiennym scenerii wygląda jak psia aktorka z kina noir. Zabieram tę moją kudłatą królową na spacer i spotykamy panów rolników w ferworze pracy. Wycinają blade pałki kukurydzy. Zostaje przyczepa złotych ziaren na następny rok. Jedzą posiłki z pudełek. Nie śmiem spytać, czy mają dietę pudełkową.

Nie wiem, czemu przypominają mi się „Jedzący kartofle” Van Gogha.

Idziemy z Gertrudą w nasz zielony tunel z drzew, który teraz lekko się złoci, kiedyś jeździły tu karoce z pobliskiego pałacu, do kościoła. To ten tunel wygląda jak komnata art deco, jak liściasty kościół au naturel. Pachnie ziemią, pies jest w niebie.

Pod naszymi nogami i łapami liście układają się w piękny geometryczny dywan. Dobrze, że mogę go nadal oglądać i nie wcham jeszcze kwiatków od spodu. (Piszę to z małym przekąsem dlatego, że wiadomo – wszyscy marudzimy „byłe do wiosny”. Buddyjska maksyma mówi, że tęskniąc w ten sposób, tracimy każdego roku ze swojego życia przynajmniej sto dni.)

Tu i teraz. Za chwilę zajdzie słońce.

Lubię dowiadywać się po latach, co dzieje się u starych znajomych. Jedną z najbardziej ekscentrycznych kobiet, jakie w życiu poznałam, była niejaka Viv (prawdziwe imię: Marlena).

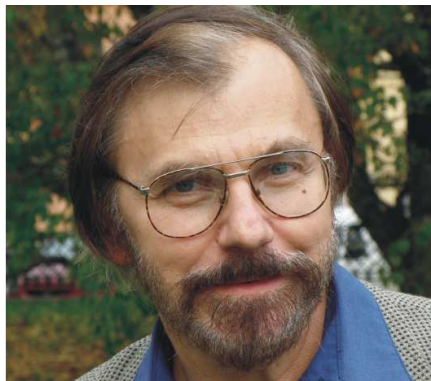
Właśnie się dowiedziałam od naszego wspólnego znajomego, że Viv z powodzeniem realizuje karierę artystyczną w Stanach Zjednoczonych. Jedną z jej conceptualnych wystaw w San Francisco był neon o treści „Sunset” w kompletnie pustej sali...

Czasem wyobrażam sobie, że też jestem artystką i, na przykład, wypełniam tę pustą salę wystawową naszą złotą jesienią w stylu art deco. Przenoszę liściaste dywany, układam regularne mozaiki tapet, podświetlam, rozpylam zapach... Nie ma drugiej takiej artystki jak natura...

A jeśli tęsknisz za wiosną – moda tam już jest.



Listy do Pani A. (101)



Zamiast dziegciu Łyżka Mleka!

Droga Pani!

I oto początek drugiej setki „Listów”. A wydawałoby się, że pierwsza zaczęła się tak niedawno. Jak długo utrzyma się druga? Dochodzą coraz to nowe wydarzenia, a i Pani nie ta sama, która mnie przed laty inspirowała. Wszystko się zmienia. My też. Obserwujemy nowe wydarzenia, inne emocje nami powodują... Ale to dobrze. Bez tego życie nie byłoby ciekawe.

Jakże mógłbym wytrzymać np. bez coraz to innej Międzynarodowej Literackiej Jesieni Pogórza. Zawsze czekam niecierpliwie na wyjazd do Kąsnej Dolnej, tradycyjnie już z Kysią Konecką; na spotkanie z Andrzejem Grabowskim i Grażynką, Arturem, z którymi tak rzadko się widzimy; na rozmowy z kolegami, którzy uczestniczą w tym festiwalu. Bardzo lubię te wyjazdy na spotkania. Nie powiem, by nie były męczące, ale jakże świetną rekompensatą jest ich atmosfera, a także klimat zbiorowych codziennych koncertów poetycko-muzycznych w różnych placówkach, np. w Tuchowie, Tarnowie, Dębicy, Olesnie oraz koncertu finałowego w Dworcu Paderewskiego. Zdawało mi się, że Pani we wszystkich uczestniczyła, albo... mi się to rzeczywiście zdawało...

Można powiedzieć, że ostatni kwartał tego roku obfitował w literackie imprezy. Ledwo przyjechałem do Warszawy, a już się zaczął Międzynarodowy Festiwal Poezji Słowiańskiej. W Domu Polonii nastrojowa, uwspółcześniona i zrealizowana przez młodzież z wileńszczyzny inscenizacja fragmentu „Dziadów”. Potem czytanie wierszy, spotkania...

Następnego dnia uroczysta inauguracja Festiwalu. Tradycyjnie w Muzeum Literatury. Udziela Festiwalowi gościny dyrektor tej placówki, Jarosław Klejnocki, również znakomity poeta. Są przemówienia, czytanie wierszy uczestników, wręczanie nagród Festiwalu. Wszystko to trwa długo, ale nie ma chwili, aby się nudzić. Aleksander Nawrocki wraz z żoną Barbarą (z domu Jurkowską) od lat prowadzi te imprezy, a Basia wspiera Aleksandra, sporządza dokładną dokumentację fotograficzną.

Tu również atmosfera jest wspaniała, na bok idą wszelkie animozje, idiotyzmy polityczne. Nikt nie skacze innym do gardeł, nikt nie tarza się w padlinie, nie gapi się wybałuszonymi z politycznego wariactwa ślepiami. Wszyscy łagodniejemy i zagłębialmy się w poezję, bo to

ona przetrwa, a kurduplowata dzisiejszość minie w niesławie.

W tym roku „zadebiutowałem” na Ogólnopolskim Festiwalu im. Wandy Karczewskiej, zorganizowanym przez Stowarzyszenie Promocji Sztuki „Łyżka mleka” w Kaliszu. Wprawdzie mój „debiut” polegał na biernym uczestnictwie, ale zawsze! Pojechaliśmy tam z Anną Marią Musz, która była zaproszona z okazji wydania czwartego tomu wierszy „Lot nad miastem”, wydanego ostatnio przez Zaułek Wydawniczy *Pomyłka*. Razem z jej książką ukazał się zbiór wierszy Cezarego Sikorskiego „Południk”. Ważnym punktem programu był właśnie dialog obojga poetów na temat inspiracji, wizji świata, filozofii zawartej w utworach. To była bardzo ciekawa konfrontacja dwóch poetyk, bo zarówno Musz jak i Sikorski są wyrazistymi indywidualnościami. Obie koncepcje poezji nie wykluczają się; zarówno jedna jak i druga mogą tylko uzupełniać bogatą panoramę poezji współczesnej. Jest to twórczość wciąż ewoluująca. Anna Maria Musz prezentuje z tomu na tom wciąż inne, dojrzalsze wiersze. Cezary Sikorski w „Południku” pokazał nieco zmienione artystyczne oblicze. Utwory stały się bardziej komunikatywne, nic przy tym nie tracąc z ekspresyjności, precyzji, głębokiego zaplecza intelektualnego. Słuchałem tego z wielkim zaciekawieniem, a zarazem z nadzieją, że kiedy mamy takich poetów, to damy radę przeciwstawić się całej masie bełkotliwej grafomanii.

A kiedy rozejrzałem się po sali, czy Pani tam nie dostrzegę, i zobaczyłem Teresę Kolańczyk, Iżę Fietkiewicz-Paszek, Beatę Patrycję Klary, Krzysztofa Micha, Jarosława Trześniewskiego-Kwietnia, Dorotę Nowak, Marka Czuku, Romę Jegor, Mirkę Szychowiak, Leszka Żulińskiego (to moje pokolenie) – prawie zupełnie się uspokoiłem, bo to silna poetycka grupa.

Kiedy już mieliśmy wyjeżdżać, mama Ani Musz – była też z nami na imprezie – niesześliwie przewróciła się w hotelu na schodach, i skrzyła sobie nogę w kolanie, kostkę i uszkodziła nadgarstek. Skończyło się to unieruchomieniem i przykrą rehabilitacją.

Na kaliskim Festiwalu był kiermasz książek. Kupiliśmy na nim „44739. Wspomnienie o Marii Żarębińskiej – aktorce”. To wywiad-rzeka z jej córką Marią Broniewską-Pijanowską przeprowadzony znakomicie przez Anetę Kolańczyk. Maria Broniewska-Pijanowska koncentruje się na swoim wspomnieniu matki, znanej przed wojną aktorki Marii Żarębińskiej. W te widzimy postać Władysława Broniewskiego, męża artystki, oraz wiele innych postaci także z kręgów artystycznych, jak Tadeusz Boy-Żeleński, Marian Hemar, Axerowie... Postać matki, wydarzenia rodzinne i okupacyjne są tu widziane oczami dziecka, potem dorastającej panienki. Teraz Maria Broniewska-Pijanowska opowiada to wszystko Anecie Kolańczyk – w sposób bardzo zajmujący, żywy; z humorem, przytacza też rozmaite anegdoty. Książka arcyciekawa, napisana niezwykle atrakcyjnie. Natychmiast po jej przeczytaniu obejrzałem przedwojenny film „Przez łyż do szczęścia”, w którym mała Marysia grała rolę dziewczynki z sierocińca.

Byłem jednak ciekaw samej Marii Żarębińskiej. Włączyłem sobie „Granice”, „Młody las” i „Sygnały”. Bardzo lubię te „stare” filmy, choć one wcale nie są takie stare jeśli chodzi o ich przesłania. Żarębińska to świetna aktorka. Nie zdążyła się, niestety, mocnole zaznaczyć. Przeżyła Oświęcim, ale zmarła w 1947 roku w Zurichu.

Muszę się podzielić z Panią pewną refleksją.

Oto jak niekiedy przedziwnie i zaskakująco krzyżują się ludzkie drogi. Maria Żarębińska grała w „Młodym lesie” jedną z uczennic, a z kolei w tym samym filmie Witold Zacharewicz, ojciec mojego kuzyna Kiejstuta – gimnazjalistę. Oboje w czasie okupacji dostali się do Oświęcimia. Marię aresztowano 12 kwietnia 1943 roku, jego pierwszego października 1942. Witold Zacharewicz Został zamordowany 16 lutego 1943 roku. Taka metafizyczna zbieżność losów dwojga artystów... A teraz ja podziwiam ich oboje.

Zaraz po przyjeździe z Kalisza mieliśmy z Anią odbyć spotkanie w warszawskiej Mokotowskiej Bibliotece Naukowej, i promować dwie jej książki: „Lot nad miastem” oraz „Poeta i przestrzeń”. I niestety Ania nie mogła w tym uczestniczyć, bo trudno jej było zostawić unieruchomioną mamę. Pojechałem więc sam.

Było dużo ludzi na tym spotkaniu. Salka była niewielka. W Sali Kongresowej byłaby nas niezauważalna garstka, ale tutaj tłum. Oprócz osób, których nie znałem był Jan Stanisław Kiczor z żoną Krystyną i wnuczką, Bogdan Chorażuk wraz ze swoją Muzą, Stanisław Gieroń, Kazimierz Świegocki, Łyczczar Seliaszki, Zbyszek Milewski z żoną Anią, pani dyrektor biblioteki Ewa Frankiewicz. Przyszła też moja córka Małgorzata z wnuczką (moją) Dominiką. Obie wyższe sporo ode mnie. Był także Aleksander Nawrocki, który namówił Małgosię i Dominikę, aby napisały coś o dziadku. Miałoby to się ukazać w „POEZJI Dzisiaj”. Zapaliły się do tego. Jestem ciekaw. Może napiszą drugiego (po Rodziewiczównie) „Strasznego dziadunia”? No i Irena Tetlak, świetna poetka, którą tutaj specjalnie wymieniam na końcu, by od razu powiedzieć, że niedawno wydała trzecią z kolei poetycką książkę „Pod tym samym niebem”. Wspominałem Pani już kiedyś o wierszach Ireny. To poezja bardzo obrazowa, nasycona refleksją egzystencjalną. Stawia pytania o nasz los i metafizyczny cel istnienia, o istotę Absolutu, o sens ostateczny wszystkiego. A z drugiej strony ta poezja jest przesyciona liryzmem, niesie autentyczne wzruszenia światem i najbliższymi każdemu człowiekowi uczuciami. Piękno, miłość, harmonia – w znacznym stopniu organizują poezję Ireny Tetlak.

Jeśli jesteście przy poezji, to gorąco Pani polecam „Wędrowanie” Marty Świdorskiej-Pelinko, objętościowo niewielki ale znaczący tom wierszy. Poezja ta jest głęboko zakorzeniona w rzeczywistości, którą ustawicznie poddaje próbie. Daleka jest od konwencjonalnych interpretacji, pyta o sens przemijania, czy po to nigdy / nie byliśmy / by teraz tylko być.

Pytanie to wydaje się proste, a przecież zauważmy jak olbrzymi niesie ładunek filozoficzny. Takie są wiersze Marty Świdorskiej-Pelinko, pisane prostym językiem, oszczędnie ale celnie metaforyzowane, nie pozostawiają nikogo obojętnym. Można więc patrzeć na literacki świat nieco bardziej optymistycznie.

A więc, jak pisze Marta Pelinko, *od błękitu po błękit / nie czas płakać / nie czas umierać*, zwłaszcza, że to już zaraz Boże Narodzenie a po nim Nowy Rok. Może będzie lepszy, choć lepszy już był... Ale nie traćmy nadziei, choć bywa ona iluzoryczna.

W każdym razie składam Pani jak najserdeczniejsze życzenia na Święta i na ten tajemniczy Nowy Rok, i pozdrawiam serdecznie –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Stracone dekady przemian

Ktoś niedawno powiedział, że ostatnie lata to dla Polski najlepszy okres od ponad trzystu lat. W pewnym sensie trzeba się z tym zgodzić, ale tylko w pewnym sensie...

Andrzej Dębkowski

Przemiany ostatnich lat nie przyniosły co prawda globalnej porażki, ale jest wątpliwe, czy historyczną szansę wykorzystujemy na miarę możliwości i ambicji. Wielu Polaków nie czerpie satysfakcji z przemian, czego spektakularnym wyrazem jest przekonanie większości, że w komunizmie żyło im się lepiej.

Dlaczego tak jest? Nie zostały przezwyciężone zasadnicze dysproporcje odziedziczone po komunizmie – raczej nastąpiło ich zaostrenie. W okresie gospodarki socjalistycznej istniało ogromne, nadmierne zatrudnienie. Rynek w ostatnich latach pozbawił tych ludzi pracy, ale ogromnego bezrobocia nie można wyjaśnić po prostu dziwactwem przeszłości. Gdzie np. ochrona rodzimych producentów przed zachodnią penetracją importu.

Rozpowszechnione przekonanie o niesprawiedliwych nierównościach ma też swoje źródło w najnowszej historii politycznej i wynika z przeświadczenia o sojuszu elit komunistycznych i solidarnościowych, które stały się beneficjentami wielkiej przemiany, dokonanej wszak ogromnym wysiłkiem większości społeczeństwa.

Interesująco na ten temat pisał kilka

lat temu w „Rzeczpospolitej” Ryszard Bugaj w artykule „Polska po przejściach”: *Być może najbardziej tego spektakularnym przykładem była operacja „uwłaszczenia” przeprowadzona przez środowisko „Gazety Wyborczej”. Redaktorzy uznali, że mogą podzielić między siebie ogromny majątek będący następstwem wielkiego sukcesu osiągniętego przez gazetę, która powstała jednak dzięki zwycięstwu całej antykomunistycznej opozycji. Co więcej, nic nie słychać, by beneficjenci założyli np. fundację działającą na rzecz tych, którzy do sukcesu dawnej opozycji, antykomunistycznej się przyczynili, a dziś są na dnie. Natomiast to „Gazeta Wyborcza” ostro reagowała na projekty ustawodawcze przewidujące skromne materialne rekompensaty dla „szeregowych kombatanów”. Podobny pokaz obłudy dali członkowie EPP domagając się podwyżki swoich bardzo wysokich apanaży i jednocześnie bezustannie nawołując do redukcji socjalnych wydatków państwa. Przykłady można zresztą mnożyć. Poczucie niesprawiedliwości i krzywdy coraz jednak rządnej jest źródłem moralnego potępienia także wśród przegranych. Coraz powszechniejsze zdaje mi się przeświadczenie, że taka jest „natura świata”, że trzeba się pogodzić z jego regułami i w ich ramach walczyć o swoje. Socjologdy dla schyłkowego okresu komunistycznego ukuli określenie „brudna wspólnota”, które wyrażało stan szczególnego moralnego relatywizmu. W nowych formach „brudna wspólnota” znowu się odradza. Storo obłudne, cyniczne i pazerne są elity (obydwie – stara i nowa), to dlatego zwykli ludzie mieliby zachowywać się według zaleceń dekalogu?*

Tworząca się nowa „brudna wspólnota” wyjaśnia też dobrze powody dwoistego stosunku do etycznych zasad w życiu publicznym. Prawią wszyscy by chcieli, aby były one stosowane, ale prawie wszyscy uznają, że to postulat nierealny. To pewnie dlatego niemal nikomu nie przeszkadza, że Polskę na wszystkich właściwie szczeblach rządzą ludzie, którzy w przeszłości wspierali system komunistyczny i byli jego beneficjentami. „Amnestia” obielea nawet najwyższych funkcjonariuszy.

Polska od początku transformacji jest przeniknięta „kulturą nierówności” i brakuje nam wspólnego etycznego fundamentu. Między rozpowszechnionymi przekonaniem na temat tego, co słuszne, sprawiedliwe i uczciwe, a realnymi regułami życia publicznego, gospodarczego istnieje dramatyczna rozbieżność. U wielu jest ona źródłem wewnętrznego rozdarcia: surowych ocen otaczającego świata i praktycznego stosowania się do realnych reguł we własnym, indywidualnym postępowaniu. Nie może to pozostać bez negatywnego wpływu na funkcjonowanie podstawowych instytucji życia społecznego: państwa, przedsiębiorstwa, władz lokalnych. Musi być źródłem deficytu społecznej aktywności. W szczególności państwo,

postrzegane jest jako byt wyalienowany, eksploatujący obywateli. To także skutek tego, że państwo koncentruje się raczej na organizowaniu indywidualnego wyścigu między obywatelami i wspiera interesy partykularnych grup, niż organizuje zbiorowy wysiłek narodowej wspólnoty i jest organizatorem jej solidarnych zachowań.

System polityczny został zbudowany tak, by ograniczać wpływ wyborców i pozostawić klasie politycznej możliwie szeroką autonomię. Służy temu przede wszystkim zawiłość struktur władzy utrudniająca ocenę zachowań aktorów życia politycznego.

Interesy wspólne klasy politycznej są coraz silniejsze, co znajduje spektakularny wyraz w bezustannie postępującej rozbudowie biurokracji państwowo-samorządowej i poszerzaniu materialnych przywilejów klasy politycznej. Ta ostatnia okoliczność ma ogromne znaczenie, bo lokuje ludzi polityki w grupie społecznej o wysokich dochodach, wytwarzając niską wspólnotę interesów.

Autorytet ludzi polityki jest więc bardzo niski, a przekonanie, że ich działania są podporządkowane jakiejś klarownej misji, właściwie nie istnieje. Potwierdzają to zupełnie dowolne wolty polityków i niedotrzymywanie jakichkolwiek zobowiązań wyborczych. Polityczna demokracja staje się – aż strach to powiedzieć – przede wszystkim instrumentem ochrony interesów grup uprzywilejowanych.

Przekształcenia ustrojowe nie uruchomiły w Polsce procesu kumulacji kapitału społecznego, bo w znacznej mierze zderzyły się z tradycją i wartościami cenionymi przez Polaków. Skutkiem jest skrajny brak zaufania pracowników do pracodawców i odwrotnie, nikt nie zainteresowany sprawami publicznymi i śladowa aktywność obywatelska. Niski poziom kapitału społecznego styka się w Polsce z tandetnym rynkiem i niskiej jakości państwem. Ale żeby to zmienić, trzeba temu poświęcić bardzo, bardzo dużo pracy.



Rys. Barbara Medajska

Józef Baran

Spadając, patrząc w gwiazdy (9)

(fragmenty)



To mnie sparaliżowało, bo nie bardzo wiedziałam, czy tę rękę przesunąć z pleców na ramię, czy ją tam dalej trzymać... Prowadził w tańcu poprawnie, ale wyczuwałam, że jest usztywniony i że ten taniec to dla niego ważna sprawa. W rezultacie tańczyliśmy jak na lodzie i czułam się, jakbyśmy byli na parkiecie dwiema nakręconymi lalkami obracającymi się automatycznie w rytm melodii pozytywki. Wyczuwałam od niego miły, choć może zbyt intensywny zapach wody kolońskiej. Starałam się okazywać, że tańczy mi się z nim swobodnie, żeby broń Boże nie pomyślał, że to dla mnie jakiś ciężar. Tym bardziej że widziałam wcześniej, iż jedna z pań przy sąsiednim stoliku odmówiła mu, gdy się uklonił przed nią w pas, i potem w trakcie dansingu nieborak zbierał się cały czas na odwagę, żeby przełamać nieśmiałość i podejść do mnie. Czyniłam wszystko w tańcu tak, żeby szło nam jak najlepiej, co wymagało i ode mnie, i od niego dużego samozaparcia. Dlatego te trzy kawałki wydawały mi się najdłużej trwającymi tańcami w życiu, choć nie powiem, że niemiłymi. ...A dla niego... dla niego to był pewnie ważny test, istotna, a może nawet przełomowa chwila w życiu...

Wolność, brak wyboru...

Tym podobno różnimy się od zwierząt, że jesteśmy wolni w swoich wyborach, gdy tymczasem zwierzęta są spętane ślepym instynktem. Jednak przynajmniej dwa razy w życiu nie mamy wyboru: kiedy się rodzimy, bo inni za nas o tym decydują, i gdy musimy umierać, bo życie nie ma innego wyboru. Może jedynie przyspieszyć umieranie.

Będę się rozradzał

Ślub mojej młodszej córki Ewy z Adamem.

Ewa jest w ósmym miesiącu ciąży, bardzo dobrze się czuje. Za miesiąc będę podwójnym dziadkiem, bo ma się urodzić chłopak.

Nie wiedzą, że żyją

„Ilu ludzi wokół nas żyje, nawet nie czując, że żyje!” (podsluchana w przychodni onkologicznej rozmowa dwóch kobiet czekających na badanie kontrolne po przebytej chorobie nowotworowej).

Pomyślałem, że poeci należą do tego dziwnego rodzaju ludzi, którzy swoim życiem pragną udowodnić, iż nie są tylko łańcuszkiem w ewolucyjnym łańcuchu reprodaktorów życia, lecz nadzwyczajnym wybrykiem genów, ba, że istnieją specjalne, indywidualne powody, które każą wierzyć, iż warto było ich powoływać do życia!

* * *

Mimo wszystko listopad wyjątkowo łaskawy dla Polaków.

Nie chłasta ulewami. Nie chłoszcze wichurami.

Nie mroczy dusz jesiennymi manioriami.

Można jakoś wytrzymać, tym bardziej że tuż-tuż za ścianką serca, choć za szali horyzontami prześwieca słońce.

Byłem na recitalu Milvy śpiewającej songi Brechta. Jest legendą nie tylko włoskiej piosenki, ma 65 lat i więcej gra niż śpiewa, podpierając się obrazkami antywojennymi na ekranie. W ogóle dziś wszędzie najważniejszą rolę ograżają obrazki, czyli tak zwane pokazy multimedialne. Ale jej głos niekiedy przejmujący.

* * *

Wnuczek Jaś ma jutro w szpitalu Żeromskiego operację migdałków.

Ewa za tydzień powinna rodzić.

Przed południem w salonie poezji Anny Dymnej karkołomne popisy lingwistyczne Mirona Białoszewskiego w koncertowym wykonaniu Mariusza Benoit i aktorki Ewy Buhłak. Z tym wyborem wierszy miałbym ochotę podyskutować. Lubię Białoszewskiego, ale już użytecznego, przystosowanego i korzystającego z eksperymentów lingwistycznych, aby wyrazić coś więcej, a nie czyniącego z palcówek lingwistycznych cel sam w sobie. Wolę najwcześniejszego i późnego Mirona od tego z trzeciego i czwartego tomiku — szarżującego niczym byk na czerwoną płachtę na polską gramatykę i składnię.

Potem wybrałem się na mszę w kościele Mariackim. Przybosiowi wieża kojarzyła się ze storczykiem, mnie – nie wiem dlaczego – wewnątrz przypomina bogato przystrojonego złotolitą kapą wysmukłego konia srokacza.

Rozradzam się

29 listopada, w przeddzień andrzejek, przyszedł na świat nowy człowiek Kuba Kwaśny – mój trzeci wnuk. Ważył 3 kilo, poród trwał 4 godziny. Jego matka, a moja córka Ewa do ostatniej chwili jeździła autem.

W tym samym dniu w Borzęcinie po raz pierwszy w historii na scenie miejscowego Domu Kultury, dowodzonego przez niespożytego Piotrką Kanię, dziewczyny z lwowskiego kabaretu tańczyły kankana. I to niewiele gorzej od tych z Moulin Rouge.

Kankan w Borzęcinie?

Przecież to rewolucja obyczajowa!

Dalej nic nie widzę

– Nie wierzę w inną WIECZNOŚĆ niż ta, którą mogę pokazać ręką tam, za drzwiami, gdzie mieszka moja córka, wnuk, prawnuk... i to wszystko, co mogę powiedzieć na ten temat... choć staram się, jak mogę – wyznał mi pisarz Emil Biela.

...Czasem myślę podobnie. Trzy dni świąt Bożego Narodzenia w poszerzonym składzie rodzinnym, spędzone głównie przy kominku, w nowo wybudowanej twierdzy rodzinnej, bo tak określam w myślach piękny dom Aśki i Hansa w Mogi lanach na rogatkach Krakowa. Pod choinką pojawiło się dzieciątko Kubuś – mój trzeci wnuk. Spadł córce Ewie i jej mężowi Adamowi z nieba, podobnie jak rzadki w tym roku śnieg, który stał się piękną naturalną dekoracją. Przewinęło się trochę ludzi, m.in. Adam Ziemianin z synem Kacprem i córką Halszką. Adam Kwaśny, nowy zięć, okazał się świetnym kucharzem.

Radość z wnuków: Jasia i Ninki, które są rozkosznymi szkrabami i najbardziej wysuniętą do przodu forpocztą życia, czyli moją MAŁĄ WIECZNOŚCIĄ – posługując się myślą Emila Bieli – jaką jestem w stanie tu na Ziemi sobie wyobrazić. Z wyobrażeniem sobie innej abstrakcyjnej WIECZNOŚCI też miewam pewne kłopoty, choć przy słuchaniu IX Symfonii Beethovena w koncertowym wykonaniu orkiestry dyrygowanej przez von Karajana (oglądanej/słuchanej na wideo) można w nią na chwilę uwierzyć...

Dom ogromny, nie na moją miarę, ale wspaniale nadający się do zaludniania go ludźmi.

Zatrzymać ten czas!

cdn.

Pod chmurną kopułą nieba

Autorka ta wydała już trzy książki literackie: dwa tomy poezji – „Romans z sobą” (2013) i „Myślne miraż” (2014), zaś w roku 2015 ukazał się jej autorstwa monodram pt. „Prześwißt”. Tomik czwarty **Elizy Segiet** pt. „Chmurność” – można nazwać wyznaniami i cierpieniami „dojrzałej Werterki”, w którym lirycznie i panegirycznie dokonuje bilansu życia osobistego, ale i w szerszym kontekście swej wielopokoleniowej rodziny.

Ten dwuczęściowy tematyczny dyskurs poetycki rozwinięty w tej książce organizuje się wokół trzech słów kluczowych: miłość i pamięć oraz wspomnienia – te bliższe i dalsze. Zbiór otwiera po trosze egzaltowany wiersz o znamionach romantycznych, zadedykowany dr. hab. Piotrowi Mrozowi – gdzie czytamy: „Życie jest zawsze debiutem. / Jak agawa – / tylko raz / kusi rozkwitem piękna. / Uczymy się słów, / by móc rozmawiać / i próbować zrozumieć świat. / Uczymy się życia, / by z godnością / i podniesioną głową / móc powiedzieć: / *nie żałuję*”.

Dla poetki – jak każdej wrażliwej kobiety – zegar i jego „tik tak, tik tak” oraz doświadczenie codzienności bywa dramatyczne, ale właśnie Segiet ma ciekawą receptę na ten „bezwzględny upływ czasu” i podpowiada, że to należy wziąć w przyszłościowy „nawias” i „żyć pełnią chwil”, rozciągając ją nawet na wieczność. W utworze pt. „Codziennosc” pisze więc: „(...) Choć krzyżują się / wspomnienia z planami – / wiesz, / że już nic nie będzie / takie jak było wczoraj. // Zawsze powtarzaj: / *dobrze, że tutaj byłam*. // Jutro, może cię zaskoczy”.

Ta realność upływu czasu, ale i wartość chwili dla autorki nie ma jakiegos tradycyjnego wymiaru hedonistycznego, ale bardziej nawiązuje do tego nowoczesnego antycypowania czasu w wymiarze kosmicznym, które może budzić nadzieję na możliwość „alternatywnego bytowania”. Kobieta bowiem w doświadczaniu świata może stawać się „sternikiem wyobraźni” analogiczne jak wena twórcza artysty. Poetka przypomina miłość między Heloizą i Abelardem, ale uważa, że można przecież pójść dalej tą drogą miłości, bo wystarczy, by kochanka wabiło „zapachem wspomnień” tylko jej ciało.

W wierszu tytułowym „Chmurność” Segiet wyznaje istotę swej recepty na życie tą „przysłowiową chwilą” i pisze: „Chowam się / w ciszy / niepewności jutra, / cieszę się, że dzisiaj nade mną jest / niebo. / Opowiadam bajkę z chmur, / choć nie wiem / jak się skończy. Wiatr daje zakończenie, / póki niebo się nie otworzy / –

patrzę / bo w niebie widzę kształty ziemi // Piękne są chmurne podróże / i chmurność nieba / jest piękna”.

To piękny sonet, choć przecież dotyczy harmonii ziemi i nieba, pośród których płynnie człowiek, żyjąc właśnie kolekcją takich wzniosłych chwil. Świat bowiem dla poetki – to dialektyka ciszy stabilizującej życie i nawał chwil, które je dynamizują, by nadawać mu naturalny charakter, w którym króluje egoizm. Dzisiaj w nim chyba nie ma już miejsca na miłość przysłowiowych: Romea i Julii i nie może ona być w pełni rzeczywistą, przez brutalność innych, pozostając nieskonsumowanym projektem – przestrzenią jedynie idealistycznego rozwoju ducha! Świat ludzi – konstatuje autorka – staje się od zarania niekończącą się areną kuszenia, która właściwie zamyka ludzi w klatkach niekończącego się pożądania – poczynając od „biblijnego raju”. Życie zamienia się w niekończący się korowód tańców na różne okazje, a w zaciszu prywatnych mieszkań kończą się one płaczem, który zabija „łaknienie życia” zmieniając ludzi w „duplikaty pragnień”. Z wiekiem, kiedy pojawia się niedosyt życia podgrzewany wspomnieniami, poetka już wie, że należy czekać głównie na sny, a nie na fakty. Odkrywa przy okazji, że w związkach między kobietą i mężczyzną stajemy się najczęściej „przygodą” i „zagłuszamy łzami ciała” swoje tęsknoty przygniatane „ciężarem przeszłości”. Szybko ukazuje się, że uroda w życiu to tylko dodatek, a prawdę o nim mówi przyprószone bielą włosów nasza głowa. Wspomnienia z dzieciństwa stopniowo się zacierają, a nowe dzieci „nie mają czasu patrzeć na starość”. Doświadczenie samotności staje się dla poetki coraz bardziej „głośnie” i stara się przytulić do nadziei, choć próby zamalowania przeszłości fasadą są tylko chwilowo skuteczne. W wierszu pt. „Fasada” czytamy zatem: „(...) Na ścianie / kamienicy bez przyszłości / znikają już ślady czasu // Na krótkiej, jednokierunkowej / – jak życie – ulicy / można zamalować słowa // ale nie ma farby/do wymazania pamięci”.

W wierszu pt. „Biurko”, zadedykowanego prof. Józefowi Lipcowi, poetka rozwija refleksję na temat jego sentencji do niej skierowanej: „Nikt inny nie może za nikogo myśleć”. Z czasem zrozumiała bowiem, że ta sentencja również mogła inaczej pokierować jej wyborami żywymi, emocjonalnymi i intelektualnymi, wpływając na jej cele działania. Poddaje więc w wątpliwość owe emocjonalne złudzenia (np. „wiecznego lata”, „wiecznej młodości”) i konstatuje, że człowiek – to przysłowiowy wędrowiec żyjący marzeniami, ciągle patrzący w przyszłość. Uświadamiając sobie i uzmysławiając nieustanne cyrkulacje pór roku, ich specyficzne nastroje, najbardziej poetka ceni „kraj przebudzenia” pojawiająca się wiosną, budząca nawet najstarsze dęby i brzozy, poprawia-

jąc swój stateczny wygląd w „Zielonym Stawie”, być może będącym metaforą naszego doczesnego świata w perspektywie wieczności. I wtedy cisną się autorce na kartkę papieru wspomnienia związane z tragedią jej rodziny, która w większości zginęła w Oświęcimiu jako ofiary żydowskiego Holocaustu. Pyta więc, czy część jej rodziny musiała pojechać do Auschwitz, by tam wziąć „ostatnią kąpiel”; kto wróci ojcu zabite dzieciństwo, dziadkowi skrytkę z okupacji, która była dla niego: „norą życia i śmierci”, kto zwróci jej eksterminowanym rodakom „zamordowaną godność osobistą”, a w związku z tymi doświadczeniami ostatniej wojny: „czy życie / jest dobrem – / nie gorszym od śmierci?” Przy okazji w wierszu pt. „Testament” przypomina: „Wiesz, / że ludzie nie mają wpływu / na swoje pochodzenie. / Nie da się zrobić jego korekty. // Rodzimy się jako spadkobiercy / i darczyńcy, / ale tak samo potrafimy kochać”.

Owa „chmurność” na kopule nieba stanowi ciekawe zwieńczenie kolejnych wierszy autorstwa Segiet, w których ukazuje wiele prawd o naszym doczesnym losie, zawsze jakoś niepewnym. Choć staramy się być idealistami i optymistami, to jednak musimy pamiętać, że ta kopuła nieba rzadko jest dla nas błękitno-niebieska, ale najczęściej jej chmurność towarzyszy nam na co dzień. Warto więc sięgnąć po ten tomik i przemyśleć obrazy oraz idee, które z wielką pieczołowitością przywołuje poetka ze swej pamięci i wyobraźni.

prof. Ignacy S. Fiut

Eliza Segiet, „Chmurność”. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Projekt okładki: Piotr Karczewski, Wydawnictwo SI-GNO, Kraków 2016, s. 68.

Poezja ożywionego palimpsestu

Znam **Cezarego Sikorskiego** z jego pisań filozoficznych, chociaż *znam* jest słowem na wyrost, bo po pierwsze napisał on więcej niż ja faktycznie z tego przeczytałem, a – po drugie – pisze w sposób często przerastający moje filozoficzne możliwości tak ze względu na zakres, który go zajmował, jak i na głębię z powodu bariery językowej oddzielającej mnie od języka niemieckiego. Tyle koniecznego wyjaśnienia mego *dyletanctwa*. Ale znam Cezarego Sikorskiego także z jego poezji,

(Dokończenie na stronie 18)

Poezja ożywionego palimpsestu

(Dokończenie ze strony 17)

dla której porzucił filozofię, porzucił w sensie formalnym, w sensie akademickiego zatrudnienia, bo naszego filozoficznego skażenia wynikającego ze studiów, jakie podjęliśmy i z pasją przez nie przeszliśmy nie jesteśmy w stanie się pozbyć. To nas chroni, wyróżnia i oczywiście wpędza w kłopoty, choćby takie, że jesteśmy podgryzani przez uzurpatorów. Sikorski uciekł ku poezji inkorporując na jej grunt siebie filozoficznego. To jest połączenie, którego boję się w moim własnym przypadku, bo oceniam, że wieloletnie praktykowanie filozofii wypłukuje wyobraźnię poetycką. Być może nigdy jej nie miałem, choć moje wiersze sprzed filozoficznego ukąszenia wskazują, że coś tam się tliło. Teraz, przynajmniej w poetyckiej samoocenie, piszę *sucho*. Ale dlaczego tak się uzewnętrzniam? Bo chcę powiedzieć, że w poezji Sikorskiego, którą dostajemy w „Południku” tych zagrożeń nie widzę. Otrzymał się tutaj takie połączenie języka, myślenia i wyobraźni, które unika wszystkich pułapek, jakie czyhają na poetę-filozofa.

„Południk” to 29 wierszy. Już otwierający tomik wiersz „Achilles w bibliotece” pokazuje, z jakimi tropami będziemy mieli do czynienia i co się dalej może. I pokazuje, że moje uwagi o specyfice wynikającej z *graniczności* sfery poetyckiej i filozoficznej są uzasadnione. To przeczytajmy wreszcie tego Achillesa, skoro po wielowiekowej pogoni za złotem zdybaliśmy go w bibliotece. Achillesa, nie złotwa.

Achilles w bibliotece

Achilles nie zginął –
zamknięty w murach Troi
chce uratować miasto
nie ma więc głowy i czasu
by rozwinąć pergamin

Na całe szczęście *rotulus*
to tylko kurz i powietrze
podnosi się do góry
nie widać jak nad sklepieniem
znikają w zwojach
zmuśnięte wieki Achajów

Achilles się odnalazł
w podglebiu biblioteki
zatrzymał się jak wszystko
co idzie na niby i sprawa
że tylko nikt potrafi
czytać pergamin

I tylko nikt zostawia pustynne ślady
– wiatr i atleta w milczeniu
wciskają w ziemię drobinki kwarcu
pod nimi złomy przykryte piaskiem

tworzą palimpsest

Ślady prowadzą donikąd
więc błdzi ten który wraca spod Troi
może zapomniał achajskie pismo?
może odczytał się czytać?

Co daje czytelnikowi odkrywanie Achillesowych śladów w pergaminach historii? Ano, że ich ponowne (które już?) przeczytanie przez poetę jest bardziej przeoraniem niżli zwykłą lekturą. To dlatego w niezwykle ciekawej obserwacji z wiersza „La Pere-Lachaise”, że dzisiejszy świat cyfrowy zbliża XIX-wieczny realizm do ideału, obserwacji która – przyznaję – bardzo mnie zaskoczyła, a intelektualnie ukontentowała, więc w tej niezwyklej obserwacji, w przyłapaniu historii, która szepce do nas – mogę ten szept usłyszeć. Głos pergaminów, trumien? Ależ tak! Ale na to trzeba ucha Sikorskiego, a po „wyuszeniu” owych szeptów trzeba odpowiedniego języka. Sikorski go ma:

La Pere-Lachaise

Śmierć jak fotografia: powszechna i byle jaka.
Selfie ze zmarłymi:
pejzaż powielił widokówkę, detal zniszczony
przez wizjer.
Wycieczka za wycieczką
tetrabajty wiadomości
w cyfrowej matrycy telefonu
zbliżają XIX-wieczny realizm do ideału.

Po co słowa, gdy można pokazać?
Uchwycić, zatrzymać, utrwalić w chmurach,
na strychach twardych dysków:

Balsac (kwartał 48) przewraca slajd po slajdzie,
Proust (kwartał 85) prowadzi pornobloga.
Pod naporem frazesu każdy szczegół jest drugorzędny

– wszystko dla nikogo. Nic dla każdego.

Jeanne Hebuterne (kwartał 96) odrywa się od parapetu.
Każdy milimetr jej lotu to osobna migawka,
odrębne zdjęcie,
które trzeba zapamiętać, by ruch i śmierć były
możliwe.

Po lekturze pierwszych wierszy chciałem napisać, że są to traktaty filozoficzne, by oddać smak autorskiego myślenia. Ale to urągałoby ich poetyckości, ich wyobraźni, właśnie ich smakowi! A wiemy już od innego poety, jak ważna jest kwestia smaku. Smakujmy więc dalej:

Schodami w dół – ostrożnie

Na głowę ze stodoły ze smakiem malin w ustach
by zniknąć w kurzu siana na wozie
i złapać oddech później w sierpniową noc
obok gwiazd z którymi łatwo pobiec
– Tak tylko raz się skacze

Pozostaje schodzenie jako praktyka metafizyczna
razem z Platonem wbrew Eleatom
– czynność ostateczna
bo niby się idzie
jednakże pion i szereg

wciąż zaplątują nogi
a ruch w jedną stronę
napędza siła pozoru

Stąpa się wolno bez woli
przez płasy i potknięcia
aksjomat ruchu pada
pod presją grawitacji

Są niczym góry stopnie tramwaju
z których się bezprzytomnie leci
koła już nie stukoczą
rytm się poddaje niczemu

Zejść – oto wszystko
co jeszcze wówczas przychodzi
do głowy

Mówią że piszesz

mchem obrosnięte ścieżki na graniach
gdzie skała w skałę wrosły w podglebie
tablice

Mówisz że piszesz
– lecz czy to prawda?
bazgrzesz najwyżej odcisk praszczura
obok konturu róży lub liczysz
jak płatki

Piszesz że mówię
słowem wymawiam imię

– lecz to nie prawda
do celu prowadzi zapach
język maca kontury
nie mówi lecz przeżuwa
płatki i liście

Cicho...
– cisza

jak nic jest
kto nie pisze

Wobec takich wierszy, wobec tych wierszy wolę pozostać jak tu: *do celu prowadzi zapach / język maca kontury/ nie mówi lecz przeżuwa / płatki i liście // Cicho... / – cisza // jak nic jest/ kto nie pisze*. Wolę więc nie pisać. Niech mi będzie to choć raz dane, proszę. Nie pisać, pisać!

Wracam jednak do pisania i od razu pożyczam od Cezarego dwa pierwsze wersy następnego wiersza:

Taki to już przywilej starego poety – wiedzieć
więcej
od tych których minął

A pożyczam tym chętniej, że pochodzą z wiersza pod tytułem „Pochwała bezsensu”. Wiersza nie przytoczę, sięgnijcie do tomiku. Powiem tylko, że znajduję tu argumenty za poezją, która zamyka, dopowiada, puentuje *zagrobną formą* – a tej coraz więcej u starzejących się poetów. Może to nasza broń i argumenty niedostępne młodości? Może więc nie tylko ona ma swoje przywileje? Skorzystam z przywileju (który nadaję sam sobie) i przytoczę początkowy fragment „Pochwały bezsensu” wykraczający poza przywołane wersy:

Taki to już przywilej starego poety – wiedzieć
od tych których minął
i pisać tak że każda puenta posiada nagrobną
lecz nawet ostateczne sentencje milnką zziąbane
dante bach Guenter z marburga i panna jadviga
którzy już nie przeglądają się w żadnej idei
Zadyszka (...)

Tu urywam, zachęcając do lektury. Przywołałem ten fragment, bo potrzebna mi była owa *zadyszka*, ale nie w swojej ontologicznej funkcji krótkiego oddechu, lecz jako zatrzymanie, spowolnienie. Bo już od pierwszych stron „Południka” Sikorski wprowadził mnie w sposób naturalny w rytm powolnego czytania. Ale to nie jest kwestia jakichś jego składniowych zabiegów, zabiegów gramatycznych, lingwistycznych czy jakichkolwiek innych. To jest kwestia poetyckiego *tembru* i poetyckiej dykcji. Kwestia tego, co i jak autor do mnie mówi. Piszac jeszcze inaczej: nie można szybko słuchać (bo przecież czytając słuchamy) kogoś, kto mówi *głęboko*. Za to Ci, Czarku, dziękuję. Prywatnie i w imieniu poezji. A mogę tak czynić – w końcu każdy z użytkowników języka jest po trosze uzurpatorem – bo traktuję wiersz jako jednostkę rozrachunkową w rozmowie poety ze światem (lansuję tę swoją tezę, gdzie tylko mogę, więc i tu). W wypadku Twoich wierszy sprawdza mi się ona stukrotnie, stąd podziękowania. Siedzę więc, otwieram buzię i słucham. Nic nie muszę mówić i – normalnie – nie musiałbym pisać, gdyby nie chęć podzielenia się z Tobą i Czytelnikami radością słuchania. Można przekazać radość słuchania nie mówiąc, nie pisząc o niej? – pytanie do Cezarego Sikorskiego znawcy muzyki. Pytanie poważne, temat odstępuję i słucham dalej.

Słucham Sikorskiego wśród gwaru współczesności, gwaru bloku, w którym mieszkam i ulicy wlewającej się przez okno. Słucham w gwarze klasy, którą uczę (dzieciaki piszą klasówkę a ja piszę ten tekst zerkać na nich spod okularów). Wiersze zapręczane do tej pory mają i tę właściwość, że skutecznie odcinają od otoczenia. Ono nie znika, pozostaje najbardziej realne z realnych, ale wiersze Cezarego swą mocą odcinają od otoczenia. Odcinają nie izolując. Pomyślałem teraz, że jest to kolejna ich ciekawa właściwość. One są właśnie takie odcinająco-nieizolujące, a są takie dzięki działaniu wyobraźni autora. Jego wyobraźni poetyckiej, językowej, intelektualnej, która swobodnie krąży łącząc *pergaminy* z *cyfrową matrycą* dzisiejszej kultury, *zadyszkę* starzejącego się poety z *oddechem* historii, uczucie z myślą, fantasmagorie z prawdą. W „Południku” znajduję *formę* bardziej

pojemną, której szukał Miłosz, ale nie znalazł. Bo szukał pomiędzy poezją a prozą a nie – jak Sikorski – w archeologii ludzkiego myślenia, a więc nie w formach języka, lecz w jego rudymmentach, nawarstwieniach, palimpsestach. Dzięki pracy poetyckiej w takich rejestrach wiersze z „Południka” wyprowadzają mnie na otwarty przestwór oceanu, wiodą ku górze, coraz wyżej i wyżej aż do zatracenia rozczajających się stamtąd widoków. Zanurzają w *mikrowśzech* świat ludzkiej łzy (patrz wiersz o ojcu). Pochylają moje starzejące się ciało ku rozgrzanej ziemi czekającej z ufnością, cierpliwie i cicho. W wierszach Sikorskiego chodzę swobodnie po Hadesie, mocuję się z bogami na Olimpie. Jestem małym pisarczykiem z Florencji albo skrybą własnego natchnienia. To dzięki nim oglądam końce świata nie tylko w Orvietto (patrz wiersz *Koniec świata w Orvietto*), ale i świata początki, bo każdy wiersz jest jakimś światem i świata swego początkiem. I my sami. Dokonałem tej wyliczanki nie po to, aby epatować enumeracją (mógłbym ją ciągnąć i ciągnąć) lecz by powiedzieć, że w wierszach „Południka” nie muszę się między tymi elementami przemieszczać, bo dostaję je w *jednym*, dopadają mnie jednocześnie, bo są przetworzone przez autorskie poetyckie spoivo, przeżute i „wyplute” w świat autonomiczności wiersza.

I aż się trochę lękam, czy Cezary nie powiedział Wszystkiego i ciekawość mnie bierze, jak przekroczy to Wszystko w następnych wierszach. Bo nie wierzę, że Wszystko powiedział. Wierzę, że za chwilę powie Inaczej, bo takie mam doświadczenie z jego kolejnymi tomikami. W nich jedna tylko stałość: Sikorski przepoczwarzający się w... Sikorskiego, reszta w każdym tomiku ożywczo nowa. Ciekaw jestem. Dlatego te wiersze są rozmową (poety Sikorskiego ze światem) a nie tak przeważającą we współczesnej poezji gadaniną. A rozmowy się słucha, a przynajmniej słuchać można, gdy od gadaniny się ucieka, stroni. Ona już nie na moje uszy.

Posłuchajmy „Końca świata w Orvietto”:

Bez mała tysiąc lat temu Zbigniew Herbert
Któż dziś pamięta rok 1959? Nie zdarzyło się
co zasługiwałoby na uwagę. Fidel Castro
Dalajlama uciekła z Tybetu, a Juda Ben Hur,
Dostał Oskara.

Choć szykowano się do trzeciej wojny, czas był
Kamienie w kolorze umbry i sieny
gdy w górze niebo mieszało z wiatrem
nie odróżniali się od poetów, kiedy czekając na
koniec świata,

poddawali się rozpuszczeniu makaronu.

Wszystko wydawało się proste i klarowne. Nie
Tomasza z Akwinu, aby odróżnić dobro od zła.
Mistrza Signorelliego czysta estetyka i dobry
by oddzielić zbawionych od potępionych. Chłód
udzielał się każdemu.

Tymczasem dziś, w dniu *finimodo*, wszelkie
Może dlatego, że w głębokich rozpadlinach,
i wyrzucają na powierzchnię umarłych – niebo
I tak jak nie ma już czystych kolorów, tak nie ma
i nie ma całkiem umarłych.

I tak jak znikają granice między wodami
prosty podział na *tak* i *nie*. Trudno zrozumieć te
które drwią z oczywistości dobra i tajemnicy
Także katedry w Orvietto. Nikt nie wie, czy
wraz ze światem, czy może pójdzie do nieba.

Gdy wcześniej pisałem o specyficznych dla Sikorskiego *przeptywach*, o jedności i jednoczesności doświadczenia mimo, że nie możemy tej jednoczesności dobrze oddać ze względu na *liniowy* a nie *symulacyjny* charakter zapisu językowego, to wiersz „Koniec świata w Orvietto” jest doskonałą egzemplifikacją tego, jak poezja z takimi ograniczeniami języka sobie radzi. Zwróćmy uwagę choćby na *czas* w tym wierszu. Herbert *żył tysiąc lat temu*, *Oscara* dostaje *Juda Ben Hura*, którego *Jezus* *poi*. Czas jest jednością bez jakichkolwiek barier utrudniających czytelnika *dyslokację*. Żadnych problemów z tymi *przeptykami* nie mamy. Choć dzieją się w sposób urągający logice, to przecież nie drażnią, wręcz przeciwnie – zdają się trafiać w coś istotnego, zdają się w istotny sposób ujmować czas naszego umysłu, historii, duszy, pamięci. A nie jest to pamięć archeologiczna, lecz przejmująca *wszechpamięć*, z którą się mierzymy i żyjąc i umierając.

Dokończenie w następnym numerze

Andrzej Wołosewicz

Cezary Sikorski, „Południk”. Zaufek Wydawnictwo „Pomyłka”, Szczecin 2016, s. 42.



Błyski



O śmierci bez patosu

Przyznać trzeba, że wśród natłoku poważnie, a niekiedy przerażająco patetycznie brzmiących tytułów wydawanych w ostatnim czasie zbiorów poetyckich, najnowsza książka Leszka Żulińskiego zwraca uwagę swoją frywolną nazwą. Do tego zaskakuje, bo zawartość tomu nie licuje z pikantnym, przez co tak frapującym tytułem. „Pani Puszczalska” bowiem to książka o rzeczach ostatecznych, zawierająca refleksje, które literatura, zdawać by się mogło, wyeksploatowała już do imentu.

Anna Dominiak

Dziś mówić w poezji o problemie przemijania i śmierci, nie ocierając się przy tym o patos i banał, jest prawdziwą sztuką. Już w wierszu otwierającym zbiór Leszek Żuliński (trudno oprzeć się pokusie utożsamienia podmiotu z samym autorem) w bezpośredni i autoironiczny sposób przedstawia własne doświadczenie vanitas, z rozrzuwaniem wspomnień z czasów, gdy mógł „pisać traktaty i bałamucić dziewczętą”. Wylicza przy tym określenia konotujące rozpad:

*(...) pokryłem się łuską,
zasnułem patyną, zrogowaciałem
i zaśnieżyłem, rdza mnie toczy,
murszuję*

(„Marzenie”)

Jednak, szamocząc się z cielesnymi ograniczeniami, nie przestaje pragnąć i marzyć, nie tylko o zmysłowych rozkoszach, ale szczególnie o tym, by „wzrokiem sowy, myślą mędrca” objąć całość własnego doświadczenia. I zbiór ten jest właśnie taką próbą – objęcia poezją istoty tego, co składa się na życie. Ogarnięcia, podsumowania, rozliczenia, z pełną świadomością kurczącego się coraz szybciej czasu.

Jeszcze raz podkreślę, że trudno oprzeć się tu wrażeniu, że jest to wyznanie wyjątkowo osobiste (autor sam przecież zwykły nazywać siebie tettrykiem, jakkolwiek mocno mielibyśmy ochotę z tym polemizować).

Kolejne chwile spędzone na lekturze wierszy z tego tomu jeszcze bardziej umacniają nas w przeświadczeniu, że mamy do czynienia z niezwykłym ujęciem znanej i jakże bardzo wyeksploatowanej w liryce tematyki i jakkolwiek mało odkrywczo brzmiałaby ta myśl, trzeba ją tu wyartykułować raz jeszcze: Leszek Żuliński zdaje się przekonywać, że dopiero z perspektywy lat możemy zbliżyć się do prawdy o sobie i o świecie, zweryfikować spojrzenie na istotne i pozornie nieistotne składniki egzystencji. W wirze zdarzeń, ekstazie życia trudno jest bowiem objąć umysłem to, co stanowi esencję istnienia.

Rozmyślaniami o kresie towarzyszą rozważania natury, i tu wypada użyć tego słowa: metapoetyckiej. To co wydaje mi się najciekawsze w tym tomie, to właśnie refleksja o tworzeniu, zawarta w cyklu znamiennej tytułowanych tekstów. Poeta rekapitułuje w nich swoje poglądy na temat języka, zaznaczając, że szczególnie dojmującym, co oczywiste w przypadku poety, jest problem słabnącej mocy kodu, którym w wyrafinowany sposób porozumiewa się ze światem. Z przymrużeniem oka opisuje postępującą afazję, przeprowadza remanent słów, a o języku mówi w prawdziwą czułością, antropomorfizując go i wyposażając w zdolność myślenia: w jego ujęciu język przestaje być tylko kodem, a staje się niezależnym, mentalnym bytem:

*(...) słowa nie do wypowiedzenia,
słowa stające kością w gardle,
słowa, które zagłuszamy w sobie od lat*

*język ich się boi, nie dopuszcza do głosu,
a my z zasznurowanymi ustami
zabierzemy je do grobu*

(„Tabu języka”)

Perspektywa kresu wzmaga w poecie potrzebę przeprowadzenia rozrachunku ze słownikami, gdy natrętnie dają o sobie znać leksemy zapomniane i te, nazywające nigdy niezaakceptowaną, obcą rzeczywistość:

(...) mocuję się też ze słowami, których nie rozumiem

*na przykład: debet, eutymia, trychotomia,
tryumf, zbawienie, purpurat*

(„Słowa”)

Sporo uwagi poświęca w tym tomie także niełatwemu losowi poety i samego wiersza, który – upersonifikowany, czy też tożsamy z jego autorem, manifestuje swą narcystyczną, choć sam nigdy się do tego nie przyzna, naturę. Jednak, jak z serdeczną ironią zauważa poeta, zdumiewające jest, że tak niewiele trzeba, by artysta poczuł się spełniony:

*potęgą wiersza jest oczywista,
trzeba tylko trafić na spragnionego człowieka*

(„Potęga wiersza”)

Lata twórczych zmagani doprowadzają do wniosku, że niestety, większość wysiłków idzie do kosza, że wiersze, dotknięte ułomnością, muszą być skazane na eutanazję przez samego twórcę i tylko te dobre są nieustępliwe, „nie dają się przegonić” („Kłęska wiersza”). Poeta sceptycznie odnosi się do toposu nieśmiertelności artysty i jego dzieła, wyrażając ambiwalentną refleksję o wielkości, ale też

ułatności słów, przeczuwa raczej ich marność niż nieśmiertelność. W „Wierszu agnostycznym”, stopniując wynikające z nasuwających się asocjacji napięcie, budzi namysł nad niepojmowalną nicością („kiedy już zrozumiemy, dalej nie rozumiemy niczego”).

Ta z pozoru lekceważona przyszłość poza kresem jest jednak frapująca, wywołuje jakiś trudny do nazwania niepokój:

*myślę, że na końcu będą muśliny
albo mgła (...)
potem otworzy się niebo (...)
a jeśli otworzy się piekło?*

(„Muśliny”)

Umieranie to zanikanie wigoru i gdy zamiera elan vital, właśnie wtedy iskra poezji pozostaje w poecie, choć i ona nie ocala, a nawet przyspiesza koniec, bo „tonący krzyku się chwyta i wtedy tonie szybciej” („Élan vital”).

Ta napisana językiem nieaspirującym do tonów wysokich książka, pod kostiumem groteski ukrywa próbę całkiem poważnego zmierzenia się z nieodwołalnie nadciągającą nicością. Każdy powinien taką próbę podjąć, Leszek Żuliński przeprowadza ją, co istotne, w momencie, gdy potrafi jeszcze dać rzeczom właściwe imiona, gdy stać go jeszcze na uśmiech, mimo przecucia nieuchronności wyroków natury.

A może człowiek kultury, poeta uczony, swobodnie i z wdziękiem pływając z Panią Mors, potwierdza myśl Epikura, że nie należy jej się bać, bo przecież czym może być dla nas, skoro tak naprawdę nigdy jej nie spotkamy? Swój intymny, a przecież nietrudny do uniwersalizowania stosunek do niej, przedstawia z perspektywy kogoś, w kim dokonał (lub dokonuje się wciąż) cud ustąpienia mroku przed światłem. Oswajaniu tego przejścia towarzyszą wspomnienia jeszcze nie tak dawnych uniesień, szaleństw, namiętności, które pozwalają z błogim poczuciem spełnienia przymierzyć się do zamknięcia ostatniego rozdziału. Aspektem odchodzenia jest również, jak się okazuje, doświadczenie antynomii: grawitacji i lewitacji, *sacrum* i *profanum*; to karkołomny taniec na linie, która prowadzi od *ars vitae* do *ars moriendi*.

Poeta konstatuje, że śmierć ma tylko wtedy sens, gdy zanikamy totalnie. Pokazuje też, że jej bliska perspektywa uwrażliwia na detal, którego kontemplacja może odwracać uwagę od tego, co się ponad wszelką wątpliwość z jednej strony oddala i z drugiej – przybliża. Im bliżej kresu – artykułuje wyraża – tym bardziej prawdziwa wydaje się analogia pomiędzy naszym losem a jednodniowym żywotem jętki.

To oczywiście tylko niektóre z zarysowanych tu problemów. Trudno jest w krótkim tekście dotknąć całego bogactwa kulturowych skojarzeń, aluzji, cytatów, gier z formą, wątków, które zgromadził w swojej niedużej rozmiarami, a jednak ważnej i naprawdę poruszającej książce Leszek Żuliński.

Na koniec jeszcze jedno – perspektywa piekła istnieje. Przeczuwa ją agnostyczny umysł i między wierszami prześwietlającymi mrok, wyraźnie to sygnalizuje.

Leszek Żuliński, Pani Puszczalska, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2016, 46 s.

Filozofia codziennosci (122)



Nieumiarkowanie wyraża się, na przykład, w żarliwości, którą powinno się cenić niepomernie wyżej od chłodnych kalkulacji. Radość życia i potęga sił witalnych wzmagają się, gdy czynimy coś z oddaniem, z zaangażowaniem tak wielkim, iż nie pozostaje miejsce na wątpliwości. Chłód emocjonalny czy działania uwarunkowane interesami, nie przynoszą takiego poczucia spełnienia jak żarliwość towarzysząca działaniom.

Są osoby, które pragną aptekarsko wyważać proporcje w swoich reakcjach. Człowiek innego typu, dokonujący czegoś z pasją, nieumiarkowany, miewa siły charyzmatyczne, a przede wszystkim jest oporny wobec demagogii i propagandy.

Łatwiej jest wywierać wpływ na innych i osiągać upragnione cele, gdy nasze pragnienia są potwierdzone silnymi emocjami. Najwspanialsze dzieła powstają z uniesienia, z żarliwości, która nie ma nic wspólnego z umiarkowaniem. Dzieje się tak, ponieważ żarliwość zespala myśli i uczucia bez reszty wokół tego, co nas absorbuje. Chłód emocjonalny, jak również pytanie „czy mi się to opłaci” stanowią zaprzeczenie uniesień o których mowa.

Wyrównanie emocjonalne przyjmuje się jako wyraz dobrego wychowania. Utrudnia ono głębsze porozumienie. Człowiek rubaszny, rozsadzający ramy „tego, co wypada” wnosi atmosferę bezpośredniości i burzy konwencjonalne bariery.

W Manifestie futurystów czytamy: „Chcemy zburzyć muzea, biblioteki, akademie wszystkich rodzajów, chcemy zwalczać moralizm, feminizm i wszelką oportunistyczną lub utylitarną podłość”. Przytaczam te słowa, bo są wyrazistą ilustracją nieumiarkowania. Można nie podzielać poglądów futurystów, ale znaczenie ma ich żarliwość w podważaniu poglądów uznawanych za niepodważalne.

W domu rodzinnym, w szkole, w pracy, nakłaniany jesteśmy do rozważań, do umiaru. Skrywając przed otoczeniem przejawy nieumiarkowania, poskramiając emocjonalne uniesienia, stajemy się nieautentyczni.

Bez wewnętrznego żaru niewiele można osiągnąć. On zresztą pomaga aktualizować potęgę naszych sił. Świat stałby w miejscu, gdyby zabrakło w nim ludzi nieumiarkowanych.

Światopoglądy i twórczość

Każdy człowiek wyznaje jakiś światopogląd, aczkolwiek nie każdy sobie to uświadamia. W każdym światopoglądzie zawarte są przemyślenia, przeżycia i dążenia człowieka, bowiem jest on funkcją nie tylko rozumu. Właściwy każdemu z nas nieco inny rodzaj wrażliwości powoduje odmienny sposób przeżywania świata i zarazem wybór określonego światopoglądu spośród wielu możliwych, bądź tworzenie oryginalnego. Bywają, na przykład, światopoglądy eklektyczne, to znaczy złożone z fragmentów rozmaitych poznanych przez kogoś światopoglądów.

Istotne jest, by nie przejmować biernie światopoglądu własnej rodziny, czy światopoglądu uchodzącego w danym czasie, w określonym społeczeństwie za najwłaściwszy. Światopogląd powinien być wynikiem krytycznego namysłu nad sugerowanymi światopoglądami, powinien być wynikiem własnych przemyśleń i przeżyć, a także wiedzy.

Wybory światopoglądowe odbywają się przez odwołanie się do strony intelektualnej oraz emocjonalnej człowieka. Nierzadko uznaje się wartości w których zostaliśmy wychowani za niepodlegające żadnym wątpliwościom. Wydaje się wielu osobom, że pogląd na świat rodziny jest prawidłowy, a pozostałe należy odrzucać. Bywa, że narasta fanatyczne przekonanie o niepodważalności określonego światopoglądu. Taka postawa wytwarzająca nietolerancję jest groźna.

Nie powinno się wykluczać, że inne poglądy – w tym jeszcze przez nas nieznane – też są słuszne. Wątpliwości powodują, że nie narasta w człowieku agresja wobec przedstawicieli odmiennych poglądów na świat. Fanatyzm jest wyrazem nie tylko pychy, ale również głupoty. Należy być sprawiedliwym i życzliwym wobec cudzego punktu widzenia. Nikt nie powinien uzurpować sobie uprawnienia do jedynie prawdziwych poglądów.

Świadomość tego, że **nie jest się** nosicielem jedyne prawdziwego poglądu, prowadzi do szacunku dla innych ludzi. Prowadzi do życzliwości dla tych, którzy myślą inaczej. Dotyczy to wszelkich poglądów z politycznymi i religijnymi włącznie. Otóż, nie ma dowodu naukowego, który mógłby wykazać, że jakiś światopogląd jest prawdziwy, a pozostałe są nieprawdziwe. Można jedynie wyrażać uzasadniony niepokój w stosunku do tych światopoglądów, które zespolone są z nietolerancją oraz wyrażać niezgodę na treści światopoglądowe, które nakłaniają do zabijania

człowieka oraz niszczenia środowiska naturalnego. Płyne stąd zobowiązanie do wychowywania kolejnych pokoleń w duchu życzliwości dla tych, którzy różnią się od nas. Odmienność powinna wywoływać zaciekawienie zamiast niechęci, agresji czy ocen dziwaczności. Twierdząc, że wiele osób jest zaniepokojonych, gdy spotykają się z odmiennymi poglądami niż ich własne. I po to, by powrócić do stanu spokoju wewnętrznego, okazują tym innym swoją niechęć, a nawet nieuzasadnioną wyższość.

W Polsce agnostycyzm bywa błędnie krytykowany. Wpływało to zarówno z marksizmu, dziś nieobecnego nurtu filozoficznego w Polsce oraz z filozofii chrześcijańskiej, która utrwała świadomość Polaków po 1989 roku. Agnostycyzm jest to pogląd, w myśl którego człowiek ma ograniczone możliwości poznawcze, a więc poznaje świat jedynie częściowo, a dostosowany do budowy naszych zmysłów oraz sposobu funkcjonowania intelektu. Poza umiarkowanym agnostycyzmem funkcjonuje mianowicie agnostycyzm skrajny w myśl którego w ogóle nie poznajemy świata lecz jedynie możemy coś o nim mniemać. Słuszność agnostycyzmu umiarkowanego wykazuje historia każdej z nauk. Na przykład, historia astronomii, czy medycyny jest zbiorem teorii, które kolejne pokolenia oceniały jako nieprawdziwe. Poszukując prawdy w rozmaitych dziedzinach, człowiek popełnia błędy.

Nikt nie ma monopolu na prawdę. Nie mogąc ustalić od starożytności, który ze światopoglądów jest prawdziwy, uprawnione staje się poszukiwanie takiego, jaki byłby zgodny z własnym ja. W związku z tym odchodzenie od stanowiska przodków nie powinno być oceniane jako naganne. Natomiast naganne jest uleganie instynktom przystosowawczym, które w każdym z nas drzemają, bowiem prowadzą do przejmowania poglądów otoczenia i to często w opozycji do utajnianych własnych przekonań. Nie należy więc, na przykład, oceniać negatywnie zmiany przez kogoś wyznania, a w tym wyborze religii niechrześcijańskiej. Nie powinna też nikogo zaskakiwać, że, na przykład, dotychczasowy zwolennik wojen staje się pacyfistą, a zjadacz potraw mięsnych – wegetarianinem, bądź zwolennik medycyny akademickiej – rzecznikiem metod leczniczych niekonwencjonalnych.

Naganne powinno być jedynie przyznawanie się do światopoglądu, którego się nie wyznaje. A w tym, na przykład, deklarowanie przynależności do jakiegoś wyznania i uczestniczenie w obrzędach, by nie odróżniać się od większości lub zyskać tą drogą jakieś korzyści.

cdn.

Maria Szyrocka

Andrzej Bartyński

Rozmowy na globie - człowieka o sobie



Boże Narodzenie za pasem

Dzisiaj w *salonie mych myśli* przy okrągłym stole usiadły sobie wiersze. I słowo po słowie czytelnikom na zdrowie. Siedzą sobie wiersze przy okrągłym stole. Na świecie już grudzień. Boże Narodzenie za pasem. I znowu przy okrągłym stole spotkamy się razem, aby nie przypadkiem przełamać się przy stole świątecznym opłatkiem. W imię miłości dla ludzkiej ludzkości spotkamy się razem jednym wyrazem „niebogobogobojności”.

Moja babcia Aniela

W romantycznych cukierenkach
białe mięsa w krynolinach
czyjaś bardzo wiotka ręka
chopinowski walc wspomina

Nieboszczka babcia pije porter
i romansuje z żydowskim kupcem
a między bogiem a tortem
stoja kieliszki po wódce

Już zmarł Beniamino Gigli
odleciał ptak na południe
w rachunkach się ktoś pomylił
powtórnie i poczwórnie

Ale upadnie deszcz
zapachnie jesień – ciociu Haniu
i wtedy rozejdzie się wieść
o mojej babci zmartwychwstaniu

Dziadziu Maciej

Z dziadziem Maciejem
trzymaliśmy sztamę
Był mi cesarzem
Francem Jozefem
jak na portrecie
z tymi wąsami
i z takim samym
uśmiechem

– Coś ci pokażę –
Wziął mnie za ramię
obaj idziemy razem
Z dziadziem Maciejem
trzymamy sztamę
– Widzisz tam panoramę? –
Ręką zatoczył
dwa sterowe koła
– Oto jest Borysław
i naftowe pola
Widzisz tam lasy daleko?
Widzisz tam szyby naftowe?
Ropa, to ptasie mleko
więc ziemię się doi jak krowę

Spacerkiem spacerkiem
z wiśniową laseczką
złota cebula
na złotym łańcuszku
Z dziadziem cesarzem
idziemy ścieżeczką
wążutką jak królicze uszko
– Widzisz mój synku
jaki świat wspaniały?
Góry, potoki
tylko człowiek mały
A tam na szczycie
stado kóz bieleje
A tam pod słońce
domek czerwieniej
Tutaj w strumieniu
pstrągi – patrz – jak idą
jakbyś ciął wodę
srebrną dzidą
Spójrz w górę na niebo
jak na wielkie morze
po którym żegluj
– widzisz tam –
to orzeł
Potem refleksje
snuł dziadziu nad światem
(Babcia Aniela
czekała z obiadem
będą gołąbki
w śmietanowym sosie)
– Człowiek nic nie wie o losie
jakby nie patrzeć
świat to coś pięknego –
mówił mi dziadziu
a szliśmy gęsiego

I tak wędrujemy
ze sobą po cichu
Żył w Borysławiu
a grób ma w Wałbrzychu

XIII Międzynarodowy Festiwal Poezji „POECI BEZ GRANIC”

Okiem debiutanta

Jesień to szczególnie intensywny okres w życiu literackim. Po wakacyjnej przerwie, kiedy to każdy zbiera nowe wrażenia, przychodzi czas wymiany doświadczeń, prezentowania najnowszych utworów – czas ponownych spotkań. Między wrześniem i listopadem odbywa się kilka znaczących imprez poetyckich. Jedną z nich jest organizowany pod egidą Dolnośląskiego Oddziału Związku Literatów Polskich Międzynarodowy Festiwal Poezji „POECI BEZ GRANIC”. Pomysłodawcą i organizatorem pierwszych spotkań w Polanicy Zdroju był **Andrzej Bartyński**, w tym roku organizacją zajmował się **Kazimierz Burnat**. Po raz pierwszy festiwal miał dwie odsłony: polaniczką (17-20 listopada) i wrocławską (20-22 listopada).

Patrząc z boku okiem debiutantki podwójnie odczytuję tytuł imprezy. Festiwal bez granic między narodami – gdyż jak zwykle oprócz kilkunastoosobowej grupy z Polski zaprezentowali się poeci z różnych stron świata: z Ukrainy, Łotwy, Czech, Wietnamu i Belgii. Również festiwal bez granic, albo bez barier, jakie nakładają zmysły – zwróciłam uwagę na homerycki akcent, jakim było zaproszenie do udziału twórców niewidomych. Piękna tradycja związana z tym wydarzeniem.

Program festiwalu był bardzo bogaty – i jednocześnie dopracowany. Uroczyste otwarcie imprezy nastąpiło w Teatrze Zdrojowym im. M. Œwiklińskiej, gdzie wręczono nagrody w konkursie zorganizowanym dla poetów polanickich. Program artystyczny oparto na występach dzieci i młodzieży z miejscowych szkół i przedszkoli. Byłam zachwycona grupą baletową, zwłaszcza „Ogień” robił niesamowite wrażenie.

Kolejne spotkania i panele dyskusyjne odbywały się już w hotelu Bukowy Park. Prezentowali się kolejno: poeci z Polanicy, wszyscy zaproszeni goście, osobna godzina była poświęcona twórczości autorów zza granicy. Z dużą przyjemnością przysłuchiwałam się referatom. Moje największe zainteresowanie wzbudziło wystąpienie Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz, która mówiła o „Orientacji Poetyckiej Hybrydy”. Młoda kobieta świetnie sobie poradziła w grupie starszych, doświadczonych prelegentów.

Ciekawym przeżyciem był poetycki Hyde Park. Twórcy prezentowali wiersze w kawiarni „Bohema”.

(Dokończenie na stronie 24)

POEZJA

Dariusz Bereski, *Wóz Tepisa*. Redakcja: Kalina Izabela Ziola. Opracowanie graficzne: Maks Bereski. Posłowania: Kalina Izabela Ziola, Dariusz Tomasz Lebiada, Jerzy Granowski. Wydawnictwo M-Druk, Wągrowiec 2016, s. 154.

Bogusław Chmiel, *Tylko chwile*. Redakcja: Helena Gordziej. Projekt okładki: Bogusław Chmiel. Zdjęcie: Marcin Chmiel. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 89. Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 46.

Helena Gordziej, *Żegnam Erato*. Zdjęcie na okładce: archiwum Autorki. Seria Wydawnicza LIBRA, nr 91. Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 44.

Franciszek Haber, *Alfabet wrażliwości*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Wydawnictwo Haber 2015 [bez miejsca wydania], s. 88.

Franciszek Haber, *Pierścionek z tęczą*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Wydawnictwo Haber 2016 [bez miejsca wydania], s. 112.

Franciszek Haber, *Po nocy cudzej*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Wydawnictwo Haber 2016 [bez miejsca wydania], s. 112.

Franciszek Haber, *Wielka woda*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Wydawnictwo Haber 2016 [bez miejsca wydania], s. 124.

Franciszek Haber, *Za kurtyną*. Projekt okładki: Cyprian Zadrożny. Wydawnictwo Haber 2016 [bez miejsca wydania], s. 64.

Justyna Koronkiewicz, *Szamanika*. Redakcja serii i tomu: Łucja Dudzińska. Ilustracje na okładce i w tomie: Monika Worsztynowicz. Portret autorki: Renata Brzozowska. Korekta: Agnieszka Repczyńska. Tom XI z serii Poezja / Na Krechę. Wydawca: Grupa Literacyjna Na Krechę, Poznań 2016, s. 56.

Lech Nawrocki, *Świeże framuski*. Fotografie czarno-białe i zdjęcie własne (selfie): Barbara Vogt. Fotografia na okładce, projekt okładki: Paweł Młodkowski. Zdjęcie autora: Kosma Nawrocki. Seria wydawnicza LIBRA, nr 90. Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 36.

Henryk Owsianko, *Wiersze*. Opracowanie redakcyjne: Jolanta Tkaczyk. Ilustracje: Henryk Owsianko. Projekt okładki: Maks Bereski. Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o., Wrocław 2016, s. 96.

Henryk Owsianko, *Zmyślenia*. Wstęp: Zdzisław Antolski i Dariusz Bereski. Projekt okładki: Maks Bereski. Wydawca: Graffiti bc, Toruń 2016, s. 76.

Mirosław Pisarkiewicz, *po drugiej stronie tłumu*. Projekt okładki: Ewa Golińska-Pisarkiewicz. Fotografie: Mirosław Pisarkiewicz. System Wydawniczy RIDERO 2016, s. 112.

Joanna Słodyczka, *Klucz do pamięci*. Redakcja i posłowie: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Zdjęcie autorki: Leszek Lisiecki. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2016, s. 76.

Trzeci Międzynarodowy Konkurs Poezji Słowiańskiej. Antologia. Redakcja wydania i rada redakcyjna: B. C. Bojko, B.I. Kartawich, C.K. Szelkowsky. Wydawca: TOB „Majdan”, Charków 2016, s. 136.

Trzynastolatka. XIII Międzynarodowy Festiwal Poezji w Polanicy Zdroju – Poeci bez granic. Antologia. Redakcja i wybór utworów: Kazimierz Burnat. Wstęp: Andrzej Bartyński. Projekt okładki: Ewa Moskała, Kazimierz Burnat. Wydawnictwo Eurosystem, Polanica Zdrój-Wrocław 2016, s. 160.

Wiersze bez dachu nad głową. Antologia 39. Międzynarodowego Listopada Poetyckiego. Redakcja: Anna Andrych. Współpraca redakcyjna: Paweł Kuszczynski, Maria Magdalena Pociągaj, Kalina Izabela Ziola. Projekt okładki i zdjęcie na okładce: Tomasz Kruczek. Seria wydawnicza LIBRA, nr 92, Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 112.

PROZA

Tadeusz Dąbrowski, *Bezbronna kreska*. Zdjęcia Tadeusz Dąbrowski. Zdjęcie autora na IV stronie okładki: Renata Dąbrowska. Projekt okładki: Justyna Boguś / Mile Widziane. Projekt typograficzny: Artur Burszta. Seria Proza, tom 40. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016, s. 130, w tym ilustracje.

Don DeLillo, *Gwiazda Ratnera*. Przełożył Robert Sydół. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Zdjęcie na okładce DIOMEDIA/FPM. Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 504.

Virginie Despentes, *Vernon Subutex*. Przełożył: Jacek Giszczak. Projekt okładki: Eliza Luty. Grafika na okładce: Karim Adduchi. Fotografia użyta w grafice: Fabian Landewee; Dimitri Otis/Stone/Getty Images. Fotografia autorki JF Paga/Grasset. Opracowanie typograficzne: Daniel Malak. Wydawnictwo Otwarte, Kraków 2016. Tom i, str. 372; tom 2, s. 368.

Carlo Emilio Gadda, *Poznanie cierpienia*. Przełożyła i opatrzyła posłowiem: Halina Kralowa. Projekt okładki i stron tytułowych: Frycz i Wicha. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2016, s. 272.

Patricia Highsmith, *Carol*. Przełożył: Krzysztof Oblucki. Projekt okładki: Tomasz Lec. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 312.

Tom Hillenbrand, *Diabelski owoc*. Przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędziński. Projekt okładki i projekt graficzny: Agnieszka Karmolińska. Smak Słowa, Sopot 2016, s. 312.

James Joyce, *Epifanie*. Przełożył: Adam Poprawa. Projekt okładki: Wojtek Świerdzewski. Zdjęcie na okładce: Adam Poprawa. Opracowanie graficzne: Artur Burszta. Seria Proza, tom 41. Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2016, s. 60.

Bart Kenoza, *Xięga Zakazana. Największa mistyfikacja w historii ludzkości*. Oficyna Wydawnicza KUBA, Warszawa 2016, s. 352.

Hubert Klimko-Dobrzaniecki, *Zostawić Islandię*. Fotografie we wkładce ilustracyjnej:

Agnieszka Klimko. Projekt okładki: Witold Siemaszkiewicz. Fotografia na okładce: Sverrir Thorolfsson/ Moment/Getty Images. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2016, s. 128.

Karl Ove Knausgard, *Jesień*. Obrazy: Vanessa Baird. Opracowanie okładki na podstawie oryginału: Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 240.

Marek Krajewski, *Mock*. Projekt okładki: Michał Pawłowski. Na IV stronie okładki autor według fotografii Szymona Szczeniaka. Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 400.

Mirosław Osowski, *Saga rodu Oryszów*. (część II) *Zawiedziona miłość*. Projekt okładki: Edyta Lisek. Stalowa Wola 2015, s. 184.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Przemysław Czapliński, *Poruszona mapa. Wyobrażenia geograficzno-kulturowe polskiej literatury przełomu XX i XXI wieku*. Projekt okładki i stron tytułowych: Robert Kleemann. Zdjęcie autora na skrzydełku okładki: Dominik Żyłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2016, s. 420.

Stefan Czerniecki, *Po drugiej stronie*. Redakcja i korekta: Janina Małas. Projekt graficzny okładki: Agnieszka Rajczak-Kucińska. Rysunek na okładce: Renata Pardon. Zdjęcia Stefan Czerniecki; w rozdziale „Ziemia Spotkania” – Justyna Kamińska; w rozdziale „Wyścig Zmarłych” – Gene J. Paull. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2016, s. 384.

Romuald Koperski, *Pojedynek z Syberią*. Fotografie: Romuald Koperski. Korekta: Elżbieta Skalska. Wydanie szóste. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2016, s. 326.

Kinga Lityńska, *Chiny nie do wiary!* Redakcja i korekta: Janina Małas. Zdjęcie: Kinga Lityńska, Isaac Coates. Wydawnictwo „Bernardinum” Sp. z o.o., Pelplin 2016, s. 304.

Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, *Poetyckie swiaty. Między parnasem a Giewontem*. Eseje: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Poezja: Renata Batko, Katarzyna Bułat, Marzena Dąbrowa Szatko, Małgorzata Hrycaj, Adriana Jarosz, Małgorzata Kulisiwicz, Joanna Krzyżañska, Leszek Lisiecki, Joachim Neander, Joanna Rzodkiewicz, Eliza Segiet, Joanna Słodyczka, Grzegorz Skórka. Redakcja: Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Na okładce: fragment wiersza Magdaleny Węgrzynowicz-Plichty. Projekt okładki: Joanna Plichta. Wydawnictwo SIGNO, Kraków 2016, s. 76.

Jerzy Benjamin Zimny, *Dzieci Norwida*. Wydawca: Związek Literatów Polskich, Poznań 2016, s. 308.



Okiem debiutanta

(Dokończenie ze strony 22)

Mogłoby się wydawać, że poezja nie przebiję się w kawiarnianych klimatach, ale zwróciłam uwagę, że kuracjusze przystawali przy barierkach, by wysłuchać czytających.

Luźny charakter miała podsumowująca odsłona polanicką biesiada poetycka. Osobom piszącym prezentującym pogodnie, a nawet mocno żartobliwe oblicze towarzyszyli goście uzdrowskowi. Rzadko widuje się poetów z takim dystansem do siebie i świata, potrafiących się śmiać. Myślę, że dla wszystkich był to niezapomniany wieczór.

Odsłona wrocławska, jak już wspominałam, odbyła się po raz pierwszy i została zorganizowana przy współpracy z Europejską Stolicą Kultury 2016, jaką w tym roku jest Wrocław. Z uśmiechem odnotowałam fakt, że sala Domu Kultury Spółdzielni Mieszkaniowej Wrocław Południe pękała w szwach, trzeba było donosić krzesła dla widzów. Czuło się kontakt ze słuchaczami i to było naprawdę miłe uczucie. Myślę, że trzeba tu od razu przywołać jeszcze jeden z punktów programu, jakim były spotkania w szkołach kotliny kłodzkiej i Wrocławia. Wbrew temu, co mówią malkontenci mamy świetną młodzież, która potrafi słuchać i chce rozmawiać z poetami. Od nas – ludzi dojrzałych w ogromnym stopniu zależy, czy Ci młodzi ludzie zachowają wrażliwość na piękno słowa i może kiedyś sami odważą się tworzyć. Dobrze, że lekcje poetyckie znalazły się w programie imprezy.

Co można powiedzieć na podsumowanie? Jestem zachwycona festiwalem. Rodzinna atmosfera, bardzo ciepłym przyjęciem w gronie uznanych poetów, nowymi znajomościami. Jestem pod ogromnym wrażeniem, jeśli chodzi o organizację – Kazimierz Burnat przygotował świetną i wartościową imprezę w czasach, gdy bardzo trudno zrobić coś na niwie kultury. Dobrze, że odbywają się jeszcze takie spotkania i że są ludzie, którzy chcą je organizować.

Joanna Słodczyka

Noty Opinie Poglądy

„Z tegorocznego Festiwalu W Gdyni »Zaćma« wyjechała bez żadnej nagrody, choć niewątpliwie była jednym z najsprawniej wykonanych filmów głównego konkursu. Gdyby nie fakt, że oceniany był przez jury międzynarodowe, wolne od naszych przekłębnych sporów, można by rzec, iż jurorzy przestraszyli się filmu Ryszarda Bugajskiego albo uznali go wręcz za szkodliwy – pisze Anita Piotrowska w „Tygodniku Powszechnym” (numer 49/2016).

Z jednej strony opowieść o stalinowskiej zbrodniarce, inspirowana historią Julii Brystygierowej, dokonuje „uczłowieczenia bestii”, z drugiej zaś sprowadza jej religijne poszukiwania na grząski grunt polsko-żydowskich i judeochrześcijańskich rozważań. Gdyby był to film tej jakości i o tej renomie, co »Ida« Pawła Pawlikowskiego, która też nawiązywała do postaci »krwawej Luny«, rozpoczęłoby się zapewne upolitycznianie zarówno samej »Zaćmy«, jak i jej odbioru. Film jednak nie wsadza żadnego kija w mrowisko.

Zanim nastąpi domniemane nawrócenie Julii Prajs (bo tym panieńskim, na zwiskiem posługuje się była funkcjonariuszka aparatu bezpieczeństwa), obserwujemy kolejne etapy jej wewnętrznej batalii. Jest rok 1957. W prowadzonym przez zakonnicę ośrodku dla ociemniałym dzieci elegancka kobieta ze stolicy oczekuje na spotkanie z prymasem Wyszyńskim. Przebywanie przez cztery dni w symbolicznej poczekalni ma być dla bohaterki okazją do przeprowadzenia rachunku sumienia, niezbędnego dla odbicia spowiedzi”.

„Protest narodowców przed siedzibą polskiego oddziału Facebooka byłby pewnie liczniejszy, gdyby serwis w porę nie odblokował ich stron: Marszu Niepodległości, Młodzieży Wszechpolskiej, Obozu Narodowo-Radykalnego i Ruchu Narodowego. W porę, czyli przed Świętem Niepodległości. Narodowcy gromadzili fundusze na organizowany przez siebie marsz, zwierali szyki, zapraszali sympatyków. Bez rozgłosu na Facebooku o to wszystko trudno. To tutaj okrzepł Komitet Obrony Demokracji, tutaj przybrały na sile czarne protesty. Jest więc miejsce w sieci, przynajmniej w teorii, dla lewej i prawej strony politycznego aktywizmu – pisze Aleksandra Żelazińska w „Polityce” (numer

47/2016).

Polscy nacjonaści poczuli jednak, że ktoś ich z tej sieci próbuje wymazać. Choć do tymczasowych blokad powinni już przywyknąć, bo Facebook karał ich w przeszłości parokrotnie. Zresztą zawsze mając w zanadrzu twardy argument – symbol Falangi, przywołujący skojarzenia z mową nienawiści używaną przez przedwojenne ruchy nacjonalistyczne, jest zakazany, niezależnie od kontekstu, w jakim zostanie w sieci użyty. Ba więc spodziewać i sympatyk ruchów narodowych i reporter, który zamieści fotorelację z manifestacji, użytkownicy sieci tak czułych symboli nie używają. A book po prostu bardziej ich lubi?”.

„Iggy Pop ma wiele twarzy. Jim Jarmusch, który nie waha się nazwać The Stooges najlepszym rockandrollowym zespołem świata, pokazuje to przyjemniejsze oblicze legendy rocka. Jarmusch kocha, podziwia, nie zadaje trudnych pytań, omija wątki dla swojego bohatera przykre. Film powstał z inicjatywy muzyka, to on namówił reżysera (a ten zastanawiał się, jak mówi, ledwie dziesięć minut) na stworzenie dokumentu o The Stooges. Prace trwały, z przerwami, od 2008 roku, lecz nie spodziewajcie się oszałamiająco wnikliwego i odkrywczego dzieła – pisze Małgorzata Sadowska w „Newsweeku”, numer 50/2016.

Jak na film o jednym z najbardziej oryginalnych, niegrzecznych i nieprzewidywalnych zespołów „Gimmie Danger” jest zdumiewająco konwencjonalny, niemalże pocziwy, wypełniony znanymi fanom grupy i Popa archiwaliami oraz opowieściami rozmaitych gadających głów. „Rozpoczynamy przesłuchiwanie Jima Osterberga” [prawdziwe nazwisko Iggy'ego Popa – przyp. red.] – zapowiada na początku dokumentu reżyser, ale nie spełnia swojej groźby i zamiast przesłuchania dostajemy pogawędkę kumpli, którzy mieli już okazję razem pracować: przy „Kawie i papierosach” (Iggy Pop wystąpił w nowelce z Tomem Waitsem) czy „Truposzu”.

Jednak biografia Jarmuscha uzasadnia takie podejście: urodzony na Środkowym Zachodzie, w Ohio, po raz pierwszy trafił na muzykę The Stooges jako szesnastolatek. I to między innymi Pop i jego kumple uzmysłowili mu, że poza senną prowincją istnieje inny świat”.

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik
Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543
e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, Anna Dominiak, prof. Igancy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.